

JERZY
BANDROWSKI

CZARCI

„RÓJ”



FUNDACJA



RODZIMY

4801 KANCELARIA

ROMA

cz

BAJKI

OSAC

BIAŁY

W PŁO

PRZEZ

dr

SYN D

KRWAWA CHMURA — Powieść — Lwów-Poznań wydanie drugie 1928.

PIELGRZYMI — Powieść — Lwów 1920.

CZERWONA RAKIETA — Powieść — Lwów-Poznań 1921.

WŚCIEKŁE PSY — Powieść — 1922.

SILA SERCA — Błękitne Romanetto — Poznań 1922.

LINTANG — Powieść — 1922.

NIEZWALCZONE SZTANDARY — Powieść — Lwów-Poznań 1923.

SZKATUŁKA Z CZERWONEJ LAKI — Romanetto — Warszawa 1926.

PO TĘCZOWEJ OBREČZY — Powieść — Warszawa 1927.

ZOŁOJKA — Powieść z nadmorskiej Polski — Poznań 1928.

WIEŚ MOJEJ MATKI — Opowiadania — Poznań 1929.

SOSENKA Z WYDM — Opowieści morskie — Poznań 1930.

W DRUKU:

W BIAŁEM MIASTECZKU — Powieść.

WIDZENIE WOKANDY — Białe Romanetto.

W PRZYGOTOWANIU:

WIEŚ CZTERNASTEJ MILI — Nowele chińskie.

WSRÓD LESISTYCH WZGORZ — Opowiadania.

PAŁAC POŁAMANYCH LALEK — Powieść.

ANAKONDA — Powieść.

FORTEPIAN MAMY — Opowieść.

JERZY BANDROWSKI

CZARCI

(CZARNE ROMANETTO)



W A R S Z A W A — 1 9 3 1

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

„Musi zawsze!”

„NAD PRUTOM, U ŁUZI”.

Działo się to w lecie, w pewnem małym letnisku górskim na Huculsczyźnie. O nazwę tego letniska mniej-sza. Zbyteczna. Właściwie prawdę mówiąc, nie jest to nawet żadne letnisko, ale poprostu dziura, wioszczyzna huculska, wtłoczona między dwie karczmy, składająca się z jakich dwudziestu chat i kilku drewnianych will między torem kolejowym, biegnącym u podnóża prawie prostopadłego stoku lesistej góry, a Prutem, hałasującym po kamienistym dnie, również u stóp takiej samej lesistej ściany po przeciwnej stronie wąwozu. Albowiem w gruncie rzeczy jest to tylko wąwóz czy ciasna kotlina, ujęta spadzistemi skłonami gór tak, że słońca bywa w niej względnie mało, bo późno z za gór wychodzi, a wcześniej się za nie chowa, skutkiem czego już nad wieczorem robi się w dolinie przejmująco chłodno. Wogóle, mimo pewnej dzikiej piękności, kotlina ma wygląd prawie że ponury, zwłaszcza gdy światła niewiele jest na świecie i — w człowieku, co się zdarza.

Wybrałem się do tej miejscowości nie dla jakiegoś szczególniejszego jej uroku, lecz dlatego, że mi mówiono, iż z powodu złego połączenia kolejowego (między dwiema stacjami!), braku wszelkiego komfortu, jak też i dla jej pęsnego, nieco przygnębiającego położenia, mało kto w tem letnisku bywa, tak, iż można w niem spędzić lato we względnym spokoju, samotności i ciszy — a ja wówczas tego przedewszystkiem szukałem — gór, spokoju, względnej samotności czy raczej, mówiąc ściślej, towarzystwa nienarzucającego się i niegłośnego, a prócz tego poważnej rozmowy z płynącą wodą żywą, obłokami, lasem, bo odzyskując po ciężkiej chorobie zdrowie fizyczne, czułem palącą potrzebę wewnętrznego przegrupowania się, duchowego remontu. Mogłem go przeprowadzić tylko na odludziu, zdala od życiowego gwaru.

W owej dziurze huculskiej wszystko to znalazłem, a prócz tego miałem też aromatyczne, rześwe powietrze górskie i przez kilka godzin na dzień słońce, czasem nawet coś w rodzaju „żywego obrazu“, mającego przypominać „piękny, pogodny zachód słońca w górach“.

Tylko, że te zachody odbywały się tu trochę inaczej niż na szerokim świecie. Były mianowicie poniekąd uproszczone, trwały krótko i urywały się jakby nie dopowiedziane, z rezygnacją poprzestając na jaskrawym akordzie ceglasto-czerwonym, poczem bez głębokich szkarłatnych, purpurowych i fioletowych przejść w granat, odrazu gasły i wpuszczały w kotlinę popielaty

zmierzch, który przy pomocy chyżo zrywających się z rzeki, ruchliwych mgieł, bezwłocznie układał wieczór do snu i gasił światło.

Wesołą ta miejscowość nie była, ale jej rzekoma pęsnosć — ot, nadąsany dziecinnie grymas w porównaniu z tem, co by to mogło być w Tatrach, które bywają czasem upiornie ponure — otóż ta rzekoma pęsnosć na złocisty, różowy i zielony kolor nie sprawiała mi przykrości. Nie była to, mojem zdaniem, żadna chmurna pęsnosć, lecz raczej łagodny smutek, cichy, rzewny i tak słodki, że nawet lubiałem się nim czasem posmęcić. Tkliwa żałość szczerze płaczącej elegji nie truje duszy, przeciwnie, niesie jej ukojenie, zwłaszcza gdy żal ten szybko przechodzi, czyniąc miejsce dziecinnej radości życia, która po smutnych chwilach zwykle serce nawiedza. Taki już jest człowiek.

Przyjechałem do letniska nocą tak ciemną, że prócz czarnej masy stromych, lesistych stoków i kilkunastu obcych mi jeszcze i dlatego nieciekawych światełek w dolinie, nic nie widziałem. Ciemności były tak gęste i, rzekłbyś, lepkie, iż nurzając się w nich jak w smole, pomyślałem, że stanąwszy na miejscu, przedewszystkiem będę się musiał z tej mazi oczyścić. Zdawało mi się, że wiozące mnie konie idą poomacku, a gdy wreszcie stanęły, w pierwszej chwili byłem zdziwiony, czemu zatrzymały się właśnie tu, a nie bliżej lub dalej, tak nie widać nie było. Nie zrobiło to na mnie jednak złego wrażenia, przeciwnie, dało mi przedsmak oczekującego

mnie spokoju, które to uczucie wzmocniły jeszcze dola-
tujące w ciszy odgłosy nocy, skape i odmienne od miej-
skich, a mianowicie: Stłumione westchnienia lasu, po-
dobne do równego oddechu śpiącego człowieka, dość
głośny lecz spokojny, równy szum wody, wreszcie szcze-
kanie psów, donośne ale nie napastliwe, powiedzmy,
urzędowe, raportujące wyraźnie, że wszystko w porząd-
ku i nic podejrzanego się nie dzieje: I ani huku tram-
wajów, ani porykiwania klaksofonów, ani gwaru miej-
skiego, nic.

Kiedy wniesiono na górę moje rzeczy, zapalono poc-
ciwą lampę naftową z dobrym palnikiem, czyniącym
z płomienia złotą różę w czystym szkiełku (po lampie
poznać człowieka!) i nareszcie pozostałem sam, przede-
wszystkiem otworzyłem drzwi na balkon i przez długą
chwilę wsłuchiwałem się z rozkoszą w ciszę nocną. Nie
zwracała na mnie, że się tak wyrażę,—najmniejszej uwa-
gi, ale też, czułem to, nic złego nie knuła.

— Śpij sobie, jak chcesz i jak możesz najlepiej! —
zdawała się szeptać. — Ja ci przeszkadzać nie będę.
Mnie do ciebie nic!

Długą chwilę badawczo wpatrywałem się w jej czarne
oblicze, nie odrazu dowierzając, bo aby powierzyć się
w obcym miejscu nocy tak zupełnie bez zastrzeżeń, jak
to robi człowiek, zamierzający spać, trzeba mieć do niej
bezwzględne zaufanie.

Ale noc mrużyła już ostatnie swe świecące oczki i za-
mykała je sennie. (Było po ostatnim pociągu). Prze-

świadczywszy się tedy głęboko, że nie żywi wobec mnie
ani cienia złych zamiarów, otworzyłem walizki, wypa-
kowałem z nich to, co mi było najpotrzebniejsze, zjadłem
resztę kupionego na drogę smażonego kurczęcia, popi-
łem pozostałem w manierce podróźnej czerwonym wi-
nem — herbaty z powodu późnej nocy nie można już
było dostać — poczem położyłem się, przeżegnałem,
otuliłem się jak należy i westchnąwszy kilka razy, zasną-
łem mocno.

W CICHYM KACIE.

Kiedy się zbudziłem, pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, była różnobarwna torebka huculska w wesołych kolorach, wyszyta cekinami, świecącemi w słońcu porannem jak małe gwiazdeczki — bukiet żywych barw i lśnień.

Wziąłem to za dobry znak i dźwignąwszy się na łokciu, spojrzałem w otwarte drzwi, wiodące na balkon.

Błyszczący mocno skrawek wody, wielka wyrwa żółto-popielata w stromym brzegu, uwieńczona u góry kłębowiskami korzeni wywalonych drzew, jak groźnie zmarszczone czoło Meduzy węzami, ściana lasu zielonoczarna, nad nią jedwabiste niebo błękitne.

— Nic złego! — pomyślałem. — Stąd nie grozi nic.

Skromnie umeblowany pokój, z podłogą ciemno pokostowaną i jasnymi ścianami z żółto impregnowanych belek, był niewielki ale miły. Ożywiały go kilimy huculskie, jeden gustowny w czterech kolorach, nad łóżkiem, drugi białe w pomarańczowo-zielone pasy na podłodze przy łóżku. Jasno politurowana orzechowa szafka nocna przykryta była wypukło haftowaną bośniacką serwetką, na której stała gipsowa popielniczka przedsta-

wiająca złób z głową końską. Podobną popielniczkę raz miałem, ale ją rozbiłem. Przez chwilę zastanawiałem się, czyby jej nie usunąć, obawiając się, że może ściągnie na mnie złe sny, ale byłem już przecie zdrów, a wspomnienia, choć czasem drasnęły, nie bolały mnie tak, jak dawniej, i nie szkodziły zdrowiu. Więc niech sobie ta końska główka zostanie! Muślinowe, białe zasłony w oknach, w „pasie“ żółtymi wstążkami przewiązane, wyglądały jak dwie smukłe, zgrabne panny. Stół w środku pokoju przykryty był trochę wytartą już serwetą z pluszu bordo, z okrągłym, białym „Richelieu“ pod lampą, zaś na małym, damskim biurczku pod oknem stał żółto-zielony, gliniany flakonik na kwiaty z kilku wątlami dzwonkami polnemi i pełnemi wdzięku piórkami suchych traw górskich. Nad biurczkiem, jak potworny pajak, siedział na ścianie wielki, okrągły, ciemno-bronзовy, suchy oset, okolony wieńcem srebrnych, dziwacznie ufryzowanych listeczków.

Spodobało mi się to wszystko.

— Nic złego! — pomyślałem znowu — Tu mi też nic nie grozi!

Wyszedłem na balkon. Powietrze balsamiczne, cudowne! Widok — nie nadzwyczajny, taki, w który trzeba się wmyślić, wżyć, włożyć weń coś ze swej duszy, zbratać się z nim, a dopiero wówczas on się odwdzięczy. Unikając wszelkich zbytanych spoufaleń, potraktowałem go jednak tak obojętnie, jak obojętnie on sam się przedstawiał. Z balkonu, wychodzącego na tył domu,

widać było niewielki kawałek pustego pastwiska z paru „perelazami“, zrzadka kamieniami zarzuconego, dalej urwisty brzeg koryta Prutu, szerokie pole kamienne, w słońcu porannem szaro-złotawe, świecąca, migotliwą wstęgę niespokojnej, szybko płynącej rzeki i czarno-zieloną, stromą ścianę świerkowego lasu z rozrzuconymi po niej, jaśniejszemi, okrągłemi plamami buków. Na lewo i na prawo zamykały widok stożkowate piramidy lesistych gór. Nad tem szafirowe niebo. Więcej nic. Pejzaż nie nadzwyczajny, przeciwnie, niepozorny, ale nie pozbawiony z pewnością ukrytych wdzięków, a za to bez niepokojących motywów fantastycznych.

— Choć — djabli go wiedzą! — myślałem, przyglądając się rzece, szumiącej skrajem kamienistego pola. — Niejedno w dzień wygląda najniewinniej w świecie, a tymczasem w nocy... No, mniejsza z tem... Ostatecznie, nie widzę nic złego.

Podszewliwy byłem, co? Trudno, życie mnie wtedy trochę wystraszyło.

Ale ledwo parę razy zaciągnąłem się świeżem powietrzem górskim, uczułem, że jestem strasznie głodny.

U drzwi zauważyłem guziczek dzwonka elektrycznego. Zadzwoiłem ze strachem, bojąc się, czy nie zawarczy brutalnie na cały dom. Nic. Cisza. Może wcale nie dzwoni? Czekałem dość długo, ale po jakimś czasie zaskrzypiały stopnie w schodach, jak gdyby ktoś po nich szedł — choć kroków wcale słyszeć nie było. Zapukało do drzwi.

— Proszę!

Do pokoju, niosąc na tacy śniadanie, weszła młoda Huculka, bosa.

— Słowa Isusu Chrystu! — rzekła na powitanie i postawiwszy tacę na stole, podeszła ku mnie i pochyliła się, aby mnie pocałować w rękę.

— Sława na wiki! Ta szczoż ty? Mene ruki ciłowaty chcesz? Idy, idy, ja szcze ne staryj...

Naturalnie skonfudowała się.

Roześmiałem się.

Odwykłem już od widoku bosych nóg ludzi, całujących nieznajomych po rękach.

Cicho, w skupieniu ducha, z przejęciem się ważnością swej funkcji, ta bosa dziewczyna ustawiła na stole śniadanie: Dwa jajka na miękko, kilka plasterków gorącej, przysmażonej wędzonki, chleb, masło, ser i dzbanuszek z kawą i śmietanką. Wszystko było, jak chciałem.

Gdy ona się tak krzątała, przyglądałem się jej dyskretnie. Była to ładna blondynka o żółtawej, pucułowanej, trochę tatarskiej twarzy, z czarnemi, żywemi oczami i koralowemi ustami. Miała na sobie zapiętą pod szyję koszulę z czerwono i czarno wyszywanemi ramionkami, a zamiast spódnicy dwa sięgające do kolan sztywne fartuchy jasno czerwone w żółte i zielone paski, okrywające ją z przodu i z tyłu. Na piersiach świecił jej sznur wielkich paciorków z niebieskiego szkła. Nazywała się, jak się dowiedziałem Mełanja. Przez cały czas mego pobytu w tym pensjonacie, rzadko kiedy się ode-

zwała, a nie widziałem, żeby się uśmiechnęła. Dlatego ją sobie zapamiętałem.

Zjadłszy z apetytem, zapaliłem papierosa i przyglądając się od stołu rzece, migocącej świetliście pod lasem, przyszedłem do przekonania, że choć poniekąd znajduję się na odludziu, będzie mi tu dobrze. Irytowało mnie trochę, że okna moje nie wychodzą na gościniec, lecz na martwe pole kamienne, ale z czasem do tego przywykłem.

Siedziałem tak, wczuwając się w atmosferę, a koguty we wsi trąbiły. W pewnej chwili tuż pod memi oknami zerwanym głosem zachrypiało stare, widać, czy zakatarzone kogucisko. I cisza.

— Tak, tu będzie można jakiś czas spokojnie posiedzieć. Jutro może przyjdą pisma, dziś wypakuję książki...

Zabrałem się do rozpakowywania rzeczy, a kiedy to skończyłem, wyjąłem mego małego Remingtona, ustawiłem go z szacunkiem na stole, podniosłem jego stalowy kołnierz i zacząłem pisać kartki, donoszące o mym nowym adresie. Stalowe klawisze zaczęły nerwowo klekotać i odrazu zrobiło się w pokoju weselej.

Obiad zjadłem u siebie. Był skromny, ale smaczny. Zwłaszcza prażucha z hreczanej mąki ze skwarkami i śmietaną, smakowała mi nadzwyczajnie.

Parę pierwszych dni spędziłem prawie że nie wychodząc z pokoju. Prawdę mówiąc, nie byłem też zbyt ciekawy. Huculszczyznę znałem trochę, w każdym razie na

tyłe, aby wiedzieć, że te góry, lasy i mieszkający w nich ludzie, to cały świat, ogromna i bardzo zajmująca księga, która jednak da się poznać dokładnie tylko temu, kto wzamian życie swe jej poświęci. Dlatego też wolałem jej nie otwierać, poprzestając na zachwycaniu się i bawieniu jej wspaniałym wyglądem zewnętrznym, jej przebogatą oprawą i cudnie iluminowanymi ilustracjami.

Zresztą żyłem sobie poprostu, w najmniejszej, najdrobniejszej czynności codziennej znajdując niewymowną przyjemność. Rozkoszą było dla mnie już samo przebudzenie się, dziecinnie wesoły uśmiech pęku barw i blasków, tryskających z zawieszanej na drzwiach jaskrawej torebki huculskiej, wytworny połysk czarno lakierowanej maszynki do pisania i jej stalowego kołnierza, wreszcie przywitanie się z niebem, czarnym lasem i miotającym się u jego stóp lśniącym skrawkiem niespokojnej wody. Rad byłem już choćby z tego samego tylko, że mogłem powiedzieć, iż wszystko to mile widzę, a nie czuję dokoła siebie nieżyczliwego, wrogiego usposobienia.

Pisałem regularnie — nie mogłem wytrzymać, aby z ukochaną maszynką choć godzinki dziennie nie pogawędzić — ale pisałem powoli, nie wzruszając się zbyt, nie sięgając w głąb uczuć, starając się nie alarmować ich i poprzestając tylko na notowaniu drobnych błysków kilku lekkimi a treściwymi zdaniami. Tak samo czytałem, niefrasobliwie i niczem się bardzo nie

przejmując, a zresztą czytałem zwykle opisy podróży, co samo przez się wykluczało obawy o los bohatera, który, jak się tem słusznie przy czytaniu bardziej emocjonujących ustępów uspokajałem — nie zginął, bo inaczej nie mógłby napisać swej książki. W słoneczne godziny w randowałem na balkonie. Słonecznych kąpiei nad rzeką nie można było brać, bo od wody zawsze wiało chłodem. Ale największą przyjemność sprawiało mi wówczas jedzenie. Wszystko, co mi podawano, nie wyjmując polenty z bryndzą, zjadałem sumiennie i z pełnem wdzięczności nabożeństwem, z głębokiem zrozumieniem rzeczy. Nawet gdy mi podano szklankę wody, patrzyłem na nią pod światło, zachwycając się jej przezroczystością. Wszystko wydawało mi się piękne i nadzwyczaj dobre.

Ani we dnie, ani w nocy nie działo się nic nadzwyczajnego. Czasem tylko pojawiały się jakieś błyski, niektóre z nich notowałem. Przytoczę parę tych notatek, ponieważ charakteryzują, zdaje mi się, nieźle moje ówczesne przeczulenie.

Pewnego ciepłego, ciemnego wieczoru jedna z mieszkających w pensjonacie panienek słabym, źle ustawionym, lecz miękim, melodyjnym głosem śpiewała przypadkiem pod memi oknami „Góralu, czy ci nie żal“, piosenkę banalną i kliwą, która jednak w owej chwili wzruszyła mnie dzięki uczuciu, jakie w nią wlewało śpiewające dziewczę. Panienkę tę znałem ot, tak sobie bardzo zdaleka. Miała może siedmnaście lat, była trochę chudawa, ale dobrze zbudowana i nie bez wdzięku,

przystojna, z ciemno kasztanowemi włosami i jaspisowemi, rozumnymi oczami. Spotykałem ją czasem na gościńcu lub na werandzie. Wyglądała mi na osobkę zrównoważoną i bez fanaberyj, taką, która wszystko rozumie, ale też wie, że człowiekowi bardzo mało wolno, nie tedy dziwnego, iż w głębi duszy swej czuła do życia żal, który się wypowiedział w zaśpiewanej ciemną nocą tęsknej piosence.

Oto jeden mały, krótki błysk wśród nocy. Odsłonił on przedemną niespodzianie mroczną tajń panińskiego serduszka i wzruszył mnie nią.

Drugim takim błyskiem był widok wiszącego w błękitach nad kotliną jastrzębia i paniki, jaka z jego zjawieniem się ogarnęła drób. Biedne, głupie, słabe ptactwo domowe gdakało, pośpiesznie naradzając się, gdzieby się schronić, koguty piałły na alarm, kwoki zaganiały swe piszczące pisklęta, a jastrząb tkwił w przestrzeni słonecznej, pomyślałbyś zadumany, nie patrzący nawet na ziemię, nie widzący jej. Naraz runął na ziemię, prawie w tej chwili wzbił się znowu w powietrze — no i już.

— Po co tu uciekać przed przeznaczeniem? — pomyślałem, wzruszając na ten widok ramionami.

Spostrzeżenie i myśl nie nowa, ale to właśnie do mnie przemówiło.

Raz znów ujrzałem na drodze cyklistę — też nic nadzwyczajnego. Przy sposobności muszę powiedzieć, że szosy i państwowe drogi leśne są tu przeważnie znakomite. Muszą takie być, inaczej nie możnaby w górach

wojny prowadzić. Tak więc ów ktoś jechał sobie na rowerze i nic mnie nie obchodził, zajęły mnie tylko koła jego roweru, które w skośnym snopie światła słonecznego świeciły jak dwa małe słońca, z promieni uplecione, a ponieważ figura szaro ubranego rowerzysty rozplywała się prawie w mocnym blasku, wyglądało to, jak gdyby gościńcem jechał duch na słonecznym rowerze. Zresztą — któż wie? Może i takie duchy są?...

I jeszcze jeden błysk. Było to późnym, chmurnym wieczorem. Panowała zupełna cisza, tak, że wyraźnie słyhać było w niej dudniący, tęgi szum rzeki. A może być, że rzeka szumiała głośniejsz, niż zwykle... Nie wiem dlaczego w tej ciszy było coś przykrego, jakby obcego i groźnego, coś niby nie z tego świata. Naraz ozwał się w powietrzu, rzekłbyś, piszczący zgrzyt czy zgrzytający piskliwie grzechot, który przyfrunął ku memu oknu i natychmiast oddaliwszy się, przepadł w ciemnościach, jak gdyby koło okna czarcia grzechotka przeleciała. Domysliłem się, że to zachichotała tak sowa, ale wrażenie było niesamowite. Chichot i hukanie sowy jest dla mnie zawsze złowrózne. Melancholja mnie ogarnia, gdy to naprawdę posępne hukanie słyszę; zawsze przynosiło mi nieszczęście. Zaintrygowany temi „nastrojowemi“ machinacjami wieczoru, wyjrzałem przez otwarte drzwi balkonu i — nic, ciemności! — a naraz rzeka, ale sama tylko rzeka! w tej czarnej nocy widmowo błysnęła i świeciła tak długą chwilę bladym, fosforycznym światłem. I w tem nie było nic nadzwyczajnego. Gdzieś wi-

docznie rozsunęły się chmury i przepuściły trochę blasku księżycowego, który przesmyknął się między górami i padł na rzekę. Mniejsza już z tem, w każdym razie widok był trochę niesamowity, zwłaszcza dla kogoś, komu uwagę nań zwrócił z ciemności zły, sowi chichot.

Rozszczękały się niespokojnie psy we wsi.

GRUBAS.

Jakkolwiek ludzi nie szukałem, przypadkowo znalazłem ich i to oczywiście właśnie takich, z jakimi jedynie mogłem wówczas przestawać. Tak zwany „ślepy traf“ dziwnie dobrze jakoś przeważnie widzi i doskonale wie, co komu podsunąć.

Pierwszego z nich, zwanego popularnie „Grubasem“, nazwiskiem Antoni Wokanda, spotkałem nad Prutem. Mianowicie po kilku rekonesansowych, niezdecydowanych przechadzkach po szerokim łóżysku Prutu, kamieniami usianem, przyszedłem do przekonania, że prócz pospolitego w górach łśnienia i szumu wody, nic ciekawego tu nie znajdę. Wobec tego zebrałem na odwagę i pewnego poranku, zaopatrzywszy się w amunicję, to jest, w papierosy i zapalki, ruszyłem trochę dalej, chcąc znaleźć zakątek, któryby miał coś więcej do powiedzenia od banalnej pod wioską rzeki.

Nie dalej niż w odległości kilometra od wsi brzegi zbliżały się do siebie tak, że tworzyły wąwóz. Prut płynął tu wciętem łóżyskiem o bardzo stromych brzegach, zarośniętych lasem. Woda z powodu swej głębokości

płynęła tu wolniej i była malachitowa, miejscami turkusowa z srebrzysto-białym odcieniem, a tak czysta, że patrząc w nią, chciało się jej napić. Te głębokie jamy w dnie przerywały miejsca płytsze, na które rzeka wbiegała z rozpędem szeregami drobnych fal w złocistych hełmach z białymi grzebieniami. Bractwo to, idąc do ataku na najeżone kamieniami mielizny, hałasowało z takim zapalem, że aż się na duszy wesoło robiło, a nad polem bitwy polatywały chwilami bieluśkie, lśniące obłoczki, które wiatr zgarniał ku brzegowi. Między nadbrzeżnemi kamieniami śmigały śliczne ważki o srebrnych, koronkowych skrzydełkach, nad wodą szumiały rytmicznie ciemno-zielone świerki, a nad niemi, na czystem, niebieskiem niebie migały kozły promienne obłoki, jak z masy perłowej ulane.

Miejsce było piękne, ale, nie wiem dla jakich przyczyn, nie nadawało mi się na dłuższe posiedzenia. Nie było odpowiedniego kąta. A takiego właśnie miejsca z kątem potrzebowałem, bo miałem parę pięknych książek, które zamierzałem przeczytać do spółki z lasem, z wodą żywą, ze słońcem, choćby nawet z ważkami. Jakże to były książki, czytelnik zrozumie z łatwością, jeśli mu powiem, że jedną z nich były „Kwiatki św. Franciszka“. Do takiej lektury potrzebowałem czegoś, co byłoby podobne do ołtarza, kazalnicy lub konfesjonału — takie przynajmniej miałem wrażenie. Poszedłem więc dalej.

Wtem zatrzymałem się zdziwiony. W bardziej piaszczystym miejscu brzegu zauważyłem dużą jamę, — rozumie

się nie taką, żeby koń mógł w nią wleźć, ale sporą, po której ostrych krawędziach z łatwością się można było domyśleć, że leżał w niej kamień, prawdopodobnie spory. Tuż spostrzegłem parę śladów miejskich trzewików — Huculi, podobnie jak i Podhalanie chodzą w kierpach — zatem wniosek jasny, że jakiś letnik dźwignął stąd ten głaz i widocznie poniósł go dalej, bo na piasku śladu kamienia nie było.

Zdziwiłem się.

— Cóż to za pomysł? — myślałem. — Po co mu to było potrzebne? I co za siła!

Wkrótce znalazłem autora tego dowcipu, a zarazem spostrzegłem też miejsce jak dla mnie do czytania stworzone. Było to coś nakształt niszy czy łoży w wyrwie nadbrzeżnej, osłaniającej plecy i boki, lecz nie zasłaniającej widoku. W tej niszy siedział na wielkim kamieniu on, Grubas, siedział z grubym cygarem w ręce, zaparty w wodę i myślał — przynajmniej wyglądało, jak gdyby myślał. Był bryłowaty, tęgi, z potężnymi barkami i byczym karkiem. Mocną, okrągłą głowę, pokrytą siwiejącym, czarnym runem, zwiesił na piersi, patrzył w wodę z podelba — a czoło miał guzowate i brwi krzacaste, nieco nawisłe nad powiekami — i tak siedział, człowiek niewątpliwie kiedyś bardzo mocny, lecz teraz prawdopodobnie tylko bardzo ciężki, w bezwładzie swym, jak to natychmiast wyczułem, bezradny, bezsilny i bezbronny, zmarnowane stare biedaczysko — choć był

solidnie i dobrze ubrany, a brzuch opasany miał złotym łańcuszkiem.

Patrząc na niego doznałem dwóch uczuć. Po pierwsze, wściekły byłem, że zajął mi „moje“ miejsce, po drugie, czułem, że jestem mimo wszystko (mimo co?) mocniejszy od niego. Z tego powodu zrobiło mi się go nawet trochę żal.

Zazgrzytały kamienie pod memi stopami.

Grubas odwrócił głowę w moją stronę i wówczas zobaczyłem jego twarz orzechową od słońca, szeroką, z mocnymi szczękami i brodą, dość silnie naprzód wysuniętą. Mimo chmurności czoła, z twarzy tej biła pewna dobroduszość, a w rzuconem na mnie, zdziwionem spojrzeniu, tlił się niewątpliwy odcień zmieszania czy zakłopotania. Nos miał, oczywiście, ale ten nos w jego fizjognomji nie odgrywał poważniejszej roli. Był to drobny kształcie małego, młodego ziemniaczka, sinawo-różowego koloru i blasku.

Przyjrzawszy mi się, Grubas uklonił się z szacunkiem swą okrągłą, kędzierzawą pałą — był bez kapelusza, jak i ja — i z leciuteńką uśmiechnął się do mnie swemi boleściwymi, niebieskimi oczami. Dał mi w ten sposób znak, że mówić z nim można — nie gryzie, nie potrzeba się go bać. O tem to ja już sam wiedziałem. Wobec tego przystąpiłem śmiało (do ludzi wogóle wielkiej śmiałości nie miałem nigdy) i zapytałem:

— Czy to pan przydźwigał ten kamień tutaj?

Powiedziałem to takim tonem, jakgdyby ów kamień,

niezmiernie wartościowy, był moją własnością, której bez mego pozwolenia nikomu nie wolno ruszać, a cóż dopiero przenosić z miejsca na miejsce!

Grubas zdziwił się i patrząc na mnie zaniepokojonym wzrokiem, odpowiedział nieśmiało, głosem trochę zachrypniętym:

— Dzień dobry. Tak, ja przydzwigałem.

I dodał jakby usprawiedliwiając się przedemną.

— Tu nie było na czym siedzieć.

To rzekłszy umilkł i patrzył na mnie.

— Dzieńdobry, — odpowiedziałem urzędowym tonem, a potem dodałem: — Hm! Ale taki głąz przydzwigać...

— Ou-wa! — rzekł lekceważąco. — Wielkie rzeczy! Tyle tylko, że trochę ciężko!

Milczałem, bo to potężne zdanie mi zaimponowało.

— Tu się dobrze siedzi! — usprawiedliwiał się Grubas, pokornie patrząc na mnie w górę ze swego kamienia.

— Powiada pan? Hm.

Równocześnie myślałem:

— Nie trzeba się z nim spoufalać. Uznaje moją wyższość nad sobą. Cymbał!

— No, ja idę dalej! — rzekłem energicznie.

— Dowidzenia! — rzekł mi.

— Dowenia! — mruknąłem niedbale, kiwnąwszy mu głową. A ja umiem tak kiwnąć głową, że człowiekowi aż w pięty pójdzie!

Widziałem, że Grubasowi zrzęda mina, gdy się zabierałem do odejścia. Domyśliłem się, że po jakichś ciężkich przejściach jest w tym stanie, w którym już się potrzebuje towarzystwa. Ja miałem nad nim tę wyższość — a to zawsze wyższość i to niemała! — że bez towarzystwa jeszcze doskonale mogłem się obejść. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Nieco dalej znalazłem kącik precudowny, niby polankę nadbrzeżną, zrzadka tylko zarośniętą, z wielkim ściętym pniem, otoczonym pachnącemi pikantnie krzakami jałowcu.

Z cichutkim, dzwonkowym szmerem płynęła tędy jasna odnóżka rzeki, niepodobna już nawet do górskiego strumyczka, lecz raczej do równinnego ruczaju leśnego. Swoją drogą trochę dalej szumiał bezceremonjalnie głośno Prut, więc miało się i perlisty szmer strugi, sączącej się przez las i patetyczną tyradę górskiej rzeki. Po trawie tańczyły plamy słoneczne, w powietrzu flirtowały dwa żółte motyle-„cytrynki“, tak je dzieci, zdaje mi się, nazywają. Że krowy ten kącik nawiedzały, łatwo można było się domyśleć i krowa, porządna, łaciata krowa, z nieśmiałą, małą pastuszką w czerwonej chuście była w tem oświeceniu tak samo konieczna, jak siedząca w zamyśleniu na zwalonym pniu zadumana dama w sukni z wysoką tiurniurą, gorsetem ściśniętą, w zapiętym pod szyję staniku i w małym słomkowym kapelusiku z długim zielonym woalem, dama o czystym, wykwin-
tym i zimnym profilu, koniecznie kreśląca coś na tra-

wie długą, szpiczastą parasolką, słowem dama z którego obrazu Gierymskiego. O krowy i pastuszkę większego zmartwienia nie miałem, rozporządzając wyobraźnią bujną i posłuszną, damę z tiurniurą też mogłem sobie sprokurować bez trudu, ale mimo, czy może właśnie dlatego, gaik nad cicho szemrzającą odnóżką, wonny i słońcem prześwietlony, gaik z tańczącymi w smugach słonecznych żółtymi motylami, nie spodobał mi się, nie wiem czemu, nie przypadł mi do gustu.

Usiadłszy na pnium wśród jałowców, zapaliłem papierosa i przez dłuższy czas zastanawiałem się nad tem, co mi tu się może nie podobać? I otóż przyszedłem do przekonania, iż w tym gaiku jest zbyt cicho i zbyt słodko, aby móc czytać i rozpamiętywać płomienne słowa miłości świętego Franciszka. Co innego zakątek, który mi tak podstępnie wydarł Grubas (Naturalnie!). Tam można było przemawiać do lasu — a to znaczy tyle, co do ludu, spierać się i walczyć słowy z pieniącą się, rwącą rzeką górską — to znaczy zwalczać namiętność — ale tu można było co najwyżej skarżyć się czy spowiadać ruczajowi, wzdychać wraz z wietrzykiem i z łagodnym uśmiechem strofować zbyt kujące w smudze słonecznej żółte motylki.

A naraz zrozumiałem, że chciałbym bliżej poznać Grubasa, że mi się tu nie podoba dlatego, ponieważ ciągnie mnie do niego.

Wypaliwszy kilka papierosów, wstałem i poszedłem zobaczyć, czy on wciąż jeszcze siedzi na swym kamieniu.

Nie było go już.

Na ziemi leżało kilka niedopałków z „egipskich“ papierosów.

— Zaśmiesił mi tu wszystko temi obrzydliwymi „egipskimi“ — mruczałem zły, nogą usuwając niedopałki, jak gdybym sprzątał po niepożądanym gościu.

Usiadłem na kamieniu i rozejrzałem się dokoła.

Ale zakątek, nie wiem czemu, stracił dla mnie cały swój urok. Wszystko było pospolite, zwykłe, nudne, codzienne.

Wróciłem do domu.

DOBRALIŚMY SIĘ.

Przez parę dni starałem się o swym pociągu do Grubasa nie myśleć i nie ulegać mu. (— Bo to może tylko się tak zdaje, że ja się nim zainteresowałem. A jeśli to on woła mnie do siebie? Mam się mu poddać?). Ale pewnego zimnego, chmurnego przedpołudnia deszczowego znudziła mi się ta bezcelowa walka z samym sobą (— O co ci właściwie chodzi? Nie wolno ci z człowiekiem pogadać? Co za historie!) i postanowiłem go poszukać. (Znajdziesz go z pewnością w karczmie u Żyda. Deszcz pada, nigdzie iść nie można!). W tym celu przypomniałem sobie, że dawno już nie jadłem bryndzy, którą bardzo lubię; miał ją z pewnością karczmarz, przysadkowaty, miedzianobrody, podślepowaty i zacharotany Żyd, który urządził sobie w karczmie obok szynkfasu sklepik, zaopatrzony, dość mizernie zresztą, dla wygody letników w niektóre wiktuały i towary kolonialne. Z niezbyt czystym sumieniem i z pewnym niepokojem w sercu (—Karczma! Zastanów się! Będziesz chlał!), wziąłem płaszcz i kapelusz i zatrzymawszy się chwilę w drzwiach (— Sam tylko powiedz: Czy to konieczne?),

zbiegłem po schodach, jakby mnie kto gonił (— Idź, stary durniu, ale ja ci mówię —) i wyszedłem, głośno zamykając za sobą drzwi do sieni (— Psiakrew! Ja wiem, co robię! Kto mi tu ma co do gadania?).

Ponieważ dzień miał się już ku południowi, deszcz przestał padać, mżył tylko, a niebo trochę się przetarło. Przez ciężkie, ciemno-popielate chmury przebijały się białe obłoki, jak gdyby z dętego srebra zrobione, a tu i owdzie wyglądał przez nie strzępek blado-niebieskiego nieba.

W karczmie było sporo ludzi — kilku starych, potężnych Huculów, przeciągniętych „na durch“ smrodem owczych kozuchów, kurnych chałup i zapiekanych fajek *), z wyszywanymi rękawami koszul, wyglądających z pod grubych, brązowych guni, jeden-drugi letnik, kilka panius, kupujących śledzie, bryndzę i makaron, parę służących, policjant... Obsługiwał to towarzystwo Żyd, charkoczący jak Chazar, a pomagała mu nieczysto

*) Nabiwszy faję, Huculi pluja na tytoń, przybijają mocno temi plwocinami i tak przyprawioną, wsadzają ją za piec i trzymają tam tak długo, aż się rozgrzeje, że ją nawet w huculskiej dłoni trudno utrzymać; tak przypieczoną fajkę palą. Mogę Czytelnikom zaręczyć, iż jest to palenie potężne i wymaga płuc tytanicznej siły. Taka fajeczka, zapalona po wielkim kieliszku wódki, zmieszanej z wapnem i eterem lub naftą — oto delicje naszych dziarskich Huculów, (przyp. aut.).

pikantna, już mimo młodego wieku tęgawa córeczka, z widocznym zadowoleniem ocierająca się o gości.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że Grubasa nie zastałem. Za to bryndza była. Kazawszy sobie podać ćwierć funta bryndzy i chałę**), usiadłem za wielkim dębowym stołem i czekałem.

Wtem patrząc — na drugim końcu stołu siedzi mój Grubas.

W pierwszej chwili nie zauważyłem go, bo miał na sobie ciemne ubranie i siedział w ciemnym kącie, ale teraz patrząc — a on bary swe szerokie, okrągłe, ciężkie, zwałił na stół, oparł na rękach — miał nabite, z grubą, złotą obrączką ślubną na palcu lewej ręki — głowę okrągłą jak kula, pochylił, udaje, że mnie nie widzi i z uśmiechem przygląda się kupującemu. Niby to im się przygląda i tak się do czegoś uśmiecha, a prawdę mówiąc, to on był taki zadowolony z tego powodu, że wiedział, iż mu się teraz nie wymknie. Przed nim stała szklaneczka wina węgierskiego, tak zwanego „zieleniaka“, doskonale mi znanego z dawnych czasów kwaskowatego sikonina.

Widząc, że czekając na bryndzę, na dobre jestem do swego miejsca przygwożdżony, jednym susem przejechał się na swym potężnym zadzie po wyslizganej ławie aż ku mnie i podsuwając mi pod nos zapaloną zapalniczkę benzynową — właśnie szukałem zapalek — stwierdził:

**) Chała — żydowska bułka na wodzie.

— Zimno dziś!

— Uhm. Dziękuję. Zimno. I wczoraj też było zimno — odpowiedziałem.

— Pan tu na lato? — zapytał, starając się wciągnąć mnie w rozmowę.

— Dam ja ci rozmowę! — pomyślałem i odpowiedziałem jak najuprzejmie:

— Kto? Ja? Ach, tak! Pan pyta, czy na lato? Na lato, i owszem, na lato! Tak. Na całe lato. Ja, panie, na lato, tak, tak, hehehe, na lato!

I już.

Patrzył na mnie przez chwilę zdziwiony, potem machnął ręką, jakby coś chciał w powietrzu rozmazać, uśmiechnął się oczami i krzyknął na żydóweczkę:

— Hej! Panienko! Moja Syfilido! Daj tu jeszcze szklaneczkę i butelkę tego sikonina. Pan pozwoli? A może wódki się napijemy? Nie? To nie. Ja już też nie piję. My się znamy, pan pozwoli, Wokanda jestem, ktoby pana nie znał! Ja wiem, książki, tyle książek. My razem na Syberji byli!

— Na Syberji?

Spojrzałem mu bystro w oczy. Nie, nie widziałem go na Syberji.

— Nie przypominam sobie! — odpowiedziałem.

— Bo my się rozminęli! — zaczął mi żywo tłumaczyć. Jak ja z Tary przyjechał do Omska, to pan był w Irkucku!

— Ładne „rozminęli“! — uśmiechnąłem się. — Toż to dobre parę tysięcy wiorst!

Po chwili byliśmy już przyjaciółmi. Co Grubas gadał, mniejsza z tem i zresztą już nie pamiętam. Był to rubaszny nieco, ale dobry, w głębi duszy prosty człowiek, w moim wieku, więcej sprytny — na pierwszy rzut oka! — niż inteligentny, ciężko doświadczony przez życie, człowiek, który niejedno już zdobył i stracił, dużo ludzi i świata poznał i w gruncie rzeczy — nie był szczęśliwy. Coś go gniotło. Mimo chamowatego trochę wyglądu, był bardzo subtelny, a jak później zauważyłem, wcale nieźle znał się na sztuce i literaturze. i dużo czytał. Opisywać go nie będę. On sam da się wkrótce poznać. Przed wojną był, jak mówił, „czemś“ (urzędniczyną prawdopodobnie), po powrocie do kraju zaczął robić majątek na różnych spekulacjach i wkońcu został przedsiębiorcą, czego, już nie wiem, choć mi mówił, ale ja nie byłem ciekawy. Te różne swe przedsiębiorstwa prowadził prawdopodobnie tak, jak grał w karty. Sumiennie, rzetelnie, sprytnie, czasem mocno ryzykując, jednakże nie przejmując się zbytnio ani wygraną, ani przegraną. Pochodził z Małopolski wschodniej, ale w całej Polsce był jak w domu. Przyjechał z Poznania.

Kiedysmy tak rozmawiali, mucha zaczęła mi koło lewego ucha brzęczeć tak uparcie, że kilkakrotnie musiałem ją odpędzić! Grubas rzucił okiem raz, drugi, wreszcie zapytał:

— Co tam tak odpędzacie?

— Muchę! Tak mi wciąż brzęczy koło ucha.

Grubas spojrział na mnie zdziwiony.

— Zdaje się wam! Żadna mucha was nie napastuje. Muchy dziś śpią, zimno!

— No, to nie wiem, co! Coś tak wciąż brzęczy...

Gadaliśmy dalej, sikonia popijając. Nie był zły. A mucha wciąż mi dokuczała.

— Co wy z tą „muchą“! — zdziwił się znów Grubas. — Halucynacja, czy co?

— Jaka znów halucynacja! — zachnąłem się prawie obrażony.

— A wyście się tu skąd wzięli? — bzyknęła naraz mucha tuż za mną.

Był to Sanio.

On to, stojąc przy szynkasie i kupując jakiś drobiazg, zwyczajem swoim nudził i głądził monotonna tak, że mi się zdawało, że to mucha tak brzęczy.

— Serwus, Saniu! — wielkim głosem zawołał Grubas, zrywając się od stołu i odsuwając go swym brzuchem. — Ta daj pyska! Co ty tu robisz? Ta siadaj, bracie, wódki się napijemy!...

— Jak się masz, Saniu! — mówiłem.

— Trzeci Sybirak! — wołał Grubas uradowany. — Żydzie, daj szabasówki i coś przegryźć! Ta daj te bryndze, puszkę sardynek, soli, papryki... Syfilida! Młodej cebuli przynieś! A może ryba po żydowsku jest? Co? Jest? Ta czemu pan zaraz nie powiedział? Ta dawaj pan, do ciężkiej cholery, trzy porcje, ztery, pięć, sześć! Co

nie zjemy, dasz świniom, Żydzie, nie zmarnuje się! cha-cha-cha-cha!

Sanio, również Sybirak, z pochodzenia lwowianin, był z zawodu dziennikarzem, bardzo zdolnym reporterem, zmarnowanym przez niezdrowy pociąg do literatury, z którą przez jakiś czas żył w nieprawym i nieszczęśliwym związku. Z natury rzeczy ogromnie wrażliwy, pracowity, lecz niezbyt przez los forytowany, przeciwnie, mimo nieprzeciętnych zdolności rozmyślnie chowany przezeń w cieniu, był skryty trochę, mało o sobie mówił i wogóle zachowywał się z pewną rezerwą, nieufnie, patrząc na ludzi z rodzajem pobłażliwej tolerancji, ironją opieprzonej. Że taki stosunek do ludzi jest zawsze cechą serc niezbyt może wielkich, lecz wrażliwych (więc dobrych), a niesprawiedliwie zranionych, jest rzeczą znaną. Twarz miał rysów regularnych, ale mało ruchliwą, skostniałą, przypominającą czasem maskę. Jego małe, czarne oczy świeciły ironicznie nawet kiedy był zupełnie szczery. Prawdopodobnie ciężko walczył z sobą, aby się nie stać zawistnym, a przez to złym i mściwym. To pochłania dużo energii. Wogóle, zawiść jest chorobą wstrętną, niebezpieczną dla chorego, a szkodliwą i przykrą dla otoczenia. Powinno się ją leczyć, bo zaniedbana miewa nieraz bardzo ciężkie i bolesne następstwa. Samemu wyleczyć się z tego prawie niepodobna. Mieszkał Sanio stale w Warszawie, gdzie był sekretarzem wielkiego dziennika.

„Szabasówki“ Grubasa osiągnęły za sobą trzy nowe

wódki, te jeszcze trzy, i tak powoli moja niewinna „bryndza“ zamieniła się w typową pijatykę śniadankową.

Już zaczęliśmy się zbierać do wyjścia, gdy naraz Grubas, który od jakiegoś czasu wyglądał przez oszklone drzwi na gościniec, wykrzyknął uradowany:

CZWARTY TOWARZYSZ.

— Patrzcie! Widzieliście kiedy ładniejszego cudaka? Musimy go koniecznie wziąć do galopu! Żydzie! Daj cztery szabasówki!

Podszedłem z Saniem ku drzwiom.

Wypogodziło się, słońce świeciło, niebo było prawie czyste, lasy nasiąkły złotością słoneczną, od której pnie napęczniały ciepłym, brunatnym tonem a zieleń świerków zrudziała. Kotliną szedł gościniec jasno-żółty, z połyskującymi stalowo koleinami i złoto-błękitnymi okami kałuż. W pewnem oddaleniu widać było brudny teraz Prut, mocno białe, świecące ściany chat i żółto-czerwone wille. Gościńcem sadił ku karczynie człowiek, jakiemu podobnego rzadko można spotkać. Ubrany był szaro, w luźną marynarkę i szerokie spodnie, ze zdradliwą przymilnością oblepiające jego nogi, na podziw chude i pałakowate, przyczem jedna nogawka była znacznie krótsza od drugiej i do połowy łydki odsłaniała giczał, podobnie jak jego brat, zakończony rozdeptanym pantoflem. Włosy tego człowieka — był z gołą głową — maszerującego chyżo w naszą stronę, były żółte,

równo nad czołem rozdzielone, przylepione do czaszki niskiej, spłaszczonej i zlewały się w jedną całość z twarzą, tego samego żółtego odcienia, co one, a tylko iluminowaną wielkimi, okrągłymi, lśnięciami okularami i napiętnowaną noskiem, przypominającym pyszczek nietoperza. Wieku był nieokreślonego.

Kiedy stwór ów był już niedaleko karczmy, Grubas wybiegł na schodki przed drzwiami i potężnym głosem krzyknął:

— Sztop!

Stwór w pół kroku stanął jak wryty i pytająco podniósł na Grubasa zdziwione okulary.

— Wódki się napijesz?

— Tak — szczęknęło coś, co prawdopodobnie było ustami, wyglądało jednak, jak szpara w skarbonce.

— To chodź do nas. Chcesz?

— Tak!

Głos stwora był tenorowy, drewniany, suchy, twardy, zacinający się trochę.

Wszedł do karczmy, bez gadania trącił się z nami, wypił kieliszek, wykręcił się na pięcie i dzióbniejszy wykłuwaczem kawałek śledzia, wsunął go w szparę w głowie.

— Pragnęlibyśmy cię bliżej poznać — mówił Grubas z niezmiernem zadowoleniem przyglądając się nieznanemu. — Wyglądasz bardzo interesująco. Przysięgnęłbym, że jesteś profesorem zoologii i botaniki!

— Nie. Miji-neralog! — wystękał.

Pierwsze słowo poszło mu gładko, z drugim walczył przez chwilę.

— Widzę — mówcą nie jesteś!

— Nnnnie! Ale jżak śpiewam, ttto się nie jąkam.

— To dziwne.

— Tak!

— Pozwolisz, że ci się przedstawię?

— Tak!

W mig zorientował się w nas i w sytuacji.

Grubas wymienił swe nazwisko, po nim Sanio i ja. Nieznajomy rękę miał chudą, długą, wiotką lecz kościłą.

— Smród! — rzekł, ściskając nam ręce, a jego okulary błysnęły wesoło.

— Tutaj? A tak! Zwykły, żydowski smród!

Nieznajomy potrząsnął przecząco głową.

— Nie! Nnnazwisko — Smród!

Grubas spojrział na niego ze zdziwieniem, ale i niesmakiem.

— Ta co gadasz! Ta to nie może być!

Usiedliśmy z przerażenia.

Nowoprzybyły stał na swych obłakach i patrzył na nas z triumfem z pod (zawsze!) wysoko podniesionych jakby w zdziwieniu brwi blado-żółtych, prawie niewidzialnych.

— Jestem Smród! — mówił z trudem. — Profesor doktor Ryszard Smród!

— W dodatku — Ryszard! — jęknął Sanio. — Romantyczny Smród!

— Żydzie! Okowity! — ryknął Grubas, nie posiadający się z radości. — I jakże ty możesz żyć z takim nazwiskiem, kochany Smrodzie, bój się Boga!

— Nie „Smrodzie“! — szcęknęła szpara w twarzy. — Jestem Smrut! Es-em-er--u-te! Smrut!

— A, to co innego! Przepraszamy bardzo! Smrut! Smrut! No, naturalnie! Że się też odrazu nie domyśliłem.

— A no taaak, Smrut! — uspokoił się Sanio. — Trzeba było odrazu tak powiedzieć!

— Ja przecież mówiłem — Smrut!

— Nie! Pan mówił — Smród! Wyraźnie — Smród! A to przecież kolosalna różnica!

— Widzisz, co to znaczy wymowa! — mówił Grubas. — Myśmy wszyscy myśleli, że ty się nazywasz Smród, a to tymczasem Smruuut! Zupełnie co innego! Niebo, a ziemia! Tak-że mi gadaj! A swoją drogą... Cóż to za nazwisko?

— Po-o-dobnoś gr... gr... gruzińskie... nnn-nawet kn... kn... kniaziowskie...

— Bardzo możliwe, że gruzińskie! — przyznał Sanio — Te „wastocznyje czelawieki“ istotnie wyrabiają jakieś wonne olejki, więc —

— E! ch... ch... cholera by ich tam z olejkami! — skończył z nagłą pasją właściciel złowonnego nazwiska.

— Mnie wszyscy nazywają „Chińczyk!“.

— Słusznie! — zgodził się Sanio.

— No to w takim razie wypijemy z sobą na braterstwo, ty, Chińczyku! Hej! Żydzie! Wódki jeszcze! A potem proszę panów do siebie na kawalek gorącej kielbasy! Niema nie, chmurzy się znów, będzie lało, a ja mieszkam tu, w karczmie, u Żyda, żeby było bliżej po wódkę!

Podochoceni, nie mieliśmy już sił opierać się i daliśmy się Grubasowi wpędzić do jego obszernej, pobielanej izby.

Kiedy nas ulokował i postawił przed nami flachę jakiejś znakomitej gorzały i papierosy, odetchnął głęboko, z widoczną ulgą i rzekł:

— Nno! Dobraliśmy się! Mam wreszcie bridge'a!

Chytry Grubas!

O to mu szło!

O bridge'a!

A tyle nablagował, nablaznował, tyle nagadał, żeby tylko...

Et!

A Sanio mówił:

— A swoją drogą, jak się dowiedziałem, że Chińczyk nazywa się Smrut, a nie Smród, to jak gdyby kamień mi z serca spadł! Bo niby Smrut, to jeszcze możliwe, ale Smród!

— A gdyby się tak pisał „Smrooth“, pomyśl — Mr. Smrooth! — toby dopiero ludzie za nim latali! I prezydentem Stanów Zjednoczonych mógłby zostać!...

— Czemu nie? Głupi on, zdaje się, nie jest! — zauważył Sanio.

PARTJA.

Od tego dnia regularnie schodziliśmy się u Grubasa na karty.

Z początku Grubas bardzo nas zapraszał do picia, pokazało się jednak, że wszyscy przekroczyliśmy już rogatkę „ostatniego kieliszka“, i żaden z nas nie pije, bo mu nie wolno. Wogóle, mnóstwo było rzeczy, których nam już nie było wolno.

Graliśmy miernie: Grubas rzeczowo, mądrze, ale najwyraźniej dla zabicia jakiejś dokuczliwej myśli, Sanio dla kontrowania i sprzeciwiania się tym, którzy wygrać chcieli, ja dla towarzystwa, Chińczyk dla zysku. Miał dużo dzieci i potrzebował dużo pieniędzy, każdy grosz miał dla niego znaczenie. To też czasem szachrował, zwłaszcza w pokerze. Nieraz wygrywał na karty, których nie miał, ale był to drobiazg, który też bynajmniej nie psuł nam humorów. Poza tem był to bardzo dobry towarzysz i prawdopodobnie taki sam człowiek. Serdecznieśmy go wszyscy polubili.

Co nas łączyło, co nas ku sobie pociągało? Trudno to określić. Powiedzmy — wiek, bo byliśmy rówieśnikami.

Była to równa suma tych samych przeżyć? Doświadczeń? Zmęczenia? Obojętne. Po co analizować? Dość, że w swoim kółku, choć czasem wcale nie byliśmy rozmowni, nigdy nie nudziliśmy się. Umieliśmy doskonale razem milczeć i nawet bawić się wspólnie w milczeniu. Nie rwaliśmy się już nawet do życia tak, jak wtedy, kiedyśmy byli młodzi, nie mieliśmy zamiaru sięgać po „szybkę z okna, gwiazdkę z nieba lub kafel z pieca“, ale tem lepiej umieliśmy je cenić należycie i umiejętnie smakować we wszystkich przejawach i pod każdą postacią. Rzecz dziwna! Odkąd uprościliśmy swe pragnienia, zachcianki i dążenia, życie stało się znacznie bogatsze, miłsze, powiedziałbym, chętniejsze i życzliwsze, jakby uznawszy nas wreszcie za smakoszków, dla których czasem warto się już potrudzić.

Zauważyłem, że wszyscy bardzo dużo czytali. Może będę miał sposobność kiedyindziej i na innem miejscu obszerniej się o tem wypowiedzieć, tu poprzestanę tylko na zaznaczeniu, iż pisarze naogół bardzo nierozsądnie postępują, wyżej ceniąc sobie posklask snobów od cichego lecz uczciwego uznania i zrozumienia ich przez lekceważąco tak zwane masy. Te „masy“ czytają bardzo dużo i coraz więcej, niezmiernie chętnie sięgają po książki i tylko one czytają je sumiennie, szczerze, całą duszą. Żadna uczciwa, dobra myśl wśród nich nie przepada. Lecz o tem kiedyindziej, tu poprzestanę na zaznaczeniu, iż rzekome „burzuje“ (zwani tak z punktu widzenia artystyczno-literackiego), przeważnie o wiele

więcej i szczerzej czytają, wiedzą i myślą, niż się zdaje. Że odczytany był Sanio i ja — nic dziwnego, ale tak Grubas jak i Chińczyk również dużo czytali, z tą tylko różnicą, że gdy my dwaj traktowaliśmy większość książek jako — co najwyżej! — eksperymenty literackie, oni, nie znając spraw zakulisowych, brali je na serjo.

Zdarzyło się tak, iż rozpadały się deszcze. Dla panów w naszym wieku, bądź co bądź dojrzalszym, bywa to w górach nieprzyjemne o tyle, że deszczom towarzyszy zwykle przejmujące zimno (my, stare konie, nie byliśmy już chciwi wycieczkowych wrażeń). Poza tem nie jest to zgoła przykre, na tryb życia nie wpływa. Więcej się siedzi, ot! Ja osobiście nawet lubię, gdy na świat mogą patrzeć przez szumiącą, ruchomą taflę wody, która mnie od niego odgradza.

Graliśmy tedy w karty, rozmawiając czasem, z początku rzadko i krótko, potem coraz częściej i gruntowniej. Wkrótce przekonaliśmy się, że rozmowa może być o wiele więcej zajmująca od kart. Miało to jednak tę mniej dobrą stronę, że zносиło nas powoli ku sprawom osobistym, których dotknięcia żaden z nas sobie nie życzył. Właśnie dlatego — nie zdarzyło się, aby któryś z nas popełnił choćby najmniejszą nawet niedyskrecję i przy całej ludzkiej życzliwości okazał jakakolwiek ciekawość lub zainteresowanie się losem towarzysza. Rozumieliśmy wszystko, ale dotykać się wszystkiego żaden z nas nie zamierzał.

Wyjawszy jednego Chińczyka, który był w trakcie re-

gularnego pełnienia swych codziennych funkcji bez żadnego protestu — ja, Sanio i Grubas czuliśmy doskonale, że zdobyliśmy jakieś nowe, świeże „poznania“, oczywiście za cenę bardzo ciężkich przejść, których to poznać, nie wypróbawwszy dostatecznie ich trwałości i sposobu działania, nie myśleliśmy bynajmniej wystawiać na światło dzienne.

— Cokolwiekby było — rzekł raz przy jakiejś sposobności Sanio — człowiek nigdy nie powie prawdy!

— Tak! — przyznał Chińczyk.

— Zdanie to świadczy — zauważyłem — że tej prawdy długo szukałeś i wreszcie znalazłeś ją.

— Może! — bąknął Sanio.

— Prawd jest wiele! — bronił czegoś Grubas. — I rzadko kiedy wiadomo, która kiedy jest prawdziwa w danym razie odpowiednia... Czyż zapomocą prawdziwych prawd nie można oszukiwać?

— Tak! — odpowiedział Chińczyk. — Dd-doskonale!

— Wszak Chińczyk nie używa fałszywych kart, a oszukuje w grze!

— Tak! — potwierdził Chińczyk.

— Używa kart fałszywie!

— To dotyczy tylko sposobu, ale nie rzeczy samej...

— A jednak największymi hipokrytami na świecie są Niemcy! — oświadczył naraz kategorycznie Sanio, który stojąc w oknie, bębnił palcami w szybę i patrzył na góry, czarne, napół mgłą zaciągnięte.

— Czemuż to? — roześmiałem się. — W jaki sposób przyszedłeś nagle do tego wniosku?

— Używają wyrażenia „die reine Wahrheit“ — rzekł z westchnieniem.

— No?

— A tymczasem prawdziwa prawda, ta ludzka prawda — jest przedewszystkiem naga, szpetna i bardzo brudna.

— Tak! — kropnął Chińczyk.

— Wszystko to — pycha ludzka! — kończył Sanio. — Co tu dużo mówić? Z prochu-s powstał, z brudnego prochu — w proch się obrócisz!

— Tak! — szcęknięło znowu.

— Dobrze gada! — przyznał Grubas. — Wobec tego możebyśmy tak — po jednym kieliszku, kieliszeczku! dobrego koniaczku — z cytryną i cukrem — po jednym!...

— No, po jednym! — zgodził się Sanio.

— Tak! — podchwycił skwapliwie Chińczyk.

— Nawet dobrze robi, bo zimno! — przyznałem.

— Lodu nie trzeba! — mruknął Grubas, przyrządzając swój ulubiony pseudo-cocktail.

Na pełne kieliszki koniaku kładł cienkie płatki cytryny z kupką miążkiego cukru na każdym. Miało to tę dobrą stronę, że tym cukrem czasami tak się człowiek zakrzuszył, że aż mu oczy z orbit wysadzało.

Zapadał zmierzch.

Deszcz dzwonił o szyby.

Dym kołysał się w pokoju grubemi warstwami, wśród których żarzyły się cztery ogniste punkciki.

Nagle przyszło mi coś na myśl.

— A możebyśmy tak — zacząłem.

— Co? W pokera? — wpadł mi żywo Grubas.

— Nie. Ja myślałem... Możebyśmy tak zrobili seans...

Zapadła cisza.

Przez długi czas nikt nie odpowiadał.

— Seans? — zapytał wreszcie Grubas. — Ty się zajmujesz spirytyzmem?

— Nie, tak sobie tylko...

— Iii, to głupie! — odezwał się Sanio.

— Jak czasem. Ostatecznie nie mamy nic lepszego do roboty.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Co to jest? — zawołał Grubas.

— Lampy dacz? — dał się słyszeć głos Pepki.

Sekunda milczenia.

— Nie, Sifilido! — odpowiedział Grubas. — Jak będzie trzeba, to zawołam.

A potem zwrócił się do nas:

— Cóż? Spróbujemy?

SEANS.

Od owego wieczoru aż do okropnej nocy, która tę niemądrą zabawę zakończyła, przez jakiś czas regularnie dzień w dzień, a raczej wieczór w wieczór zabawialiśmy się seansami spirytystycznymi.

Jak w każdej zabawie, tak i w tej, winno się stale zachowywać umiar i takt. Mając do czynienia z ludźmi statecznymi i doświadczonymi, pewny byłem, że się zachowywać będą przyzwoicie i głupstwa żadnego nie zrobią. Dlatego zgodziłem się na propozycję Grubasa.

Sanio wymawiał się z początku. Twierdził, że pokój Grubasa, w karczmie, gdzie panuje wciąż ruch, nie nadaje się na seanse. Drażnił go też wygląd pokoju, w którym panował nieład, prawie że kawalerski, nic nie leżało ani nie stało na swoim miejscu, co też nie przyczyniało się do wytworzenia odpowiedniego nastroju, ale — ostatecznie — u Żyda można robić, co się komu „rzewnie“ podoba! — zachwalał Grubas z lwowska swój pokój. — Gudłaj się do niczego nie wtrąca.

— Tak! — przyznał Chińczyk.

Po długich namowach Sanio się wreszcie zgodził.

Stół był dobry, w sam raz co się tyczy wielkości i wagi, nie zaduży, nie zamały, prosty, wygodny.

— Światło zapalimy jakie? — zapytał Grubas.

— Nie trzeba! — odpowiedziałem. — Mam w kieszeni latarkę elektryczną.

— Ja też — rzekł Sanio. — To wystarczy.

— Wiecie, jak siadać, więc siadajcie, jak komu wygodniej. I przestrzegam poważnie — bez dowcipów, bo wiecie: — Jak Pan Bóg dopuści —

— Wiemy! Wiemy!

— A ty, Chińczyk, brałeś kiedy udział w seansach?

— Tak.

— No to siadajmy.

Siedziałem naprzeciw Grubasa między Saniem i Chińczykiem. Tych dwóch nie widziałem, ale zato Grubas majaczył przedemną jak dobrze wypchany, wielki wór.

— Dobre porównanie! — pomyślałem.

Jak tylko, usadowiwszy się wygodnie, położyliśmy ręce na stole tak, że zetknęły się palcami i pograżyliśmy się w milczeniu, zapanował ten charakterystyczny dla seansów i miły nastrój skupienia, wchodzenia w siebie, oczekiwania, co najwięcej w tej zabawie lubię. Znika wtedy wszelki przymus towarzyski, a człowiek, nie tracąc łączności z ludźmi, przeciwnie, czuciem zespalając się z nimi w ciemnościach, zacierających wszystko, co w nich może razić, bez przeszkód staje się sobą, nasłuchiowaniem swemu życiu wewnętrznemu jedynie zajęty.

Słyszałem, co się działo w karczmie. Skrzeczał wciąż głos karczmarza, brzęczący jak nadtluczony garnek, hucały basy Huculów, strzelały drzwi, zamykane z taką siłą, że aż szyby w nich dzwoniły. Od czasu do czasu ktoś z szynkowni wchodził do sieni i zawadzając o rozstawione w niej sprzęty, szpetnie kłął ciemności i żydowskie porządki i wracał, trzaskając drzwiami. Naturalnie, że nas to z początku peszyło.

— Psie krwie te Żydy! — zaklął Sanio, zniecierpliwiony. — Chwili cicho nie usiedzą!

Ale po jakimś czasie odgłosy te, jako nie mające z nami nic wspólnego, przestały dla nas istnieć, w ciemnościach zatarł się nawet monotonny szum deszczu i ogarnęła nas cisza tak wielka, iż zdawało mi się, że słyszę w niej bicie naszych serc, coraz równiejsze i spokojniejsze. Mało tego! Kiedy przełykałem ślinę, a starałem się robić to jak najrzadziej i jak najciszej, miałem wrażenie, że robię to z łoskotem, od którego niemal ściany drżą.

— Kto prowadzi seans? — spytałem półgłosem.

— To się pokaże... później! — odpowiedział mi Grubas.

— Masz jaki plan? — zapytałem po dłuższej chwili.

— Co? — mruknął jak przez sen.

— Aha! — pomyślałem. — Bierze go!

Nic już nie mówiłem.

— Bez planu! — wymamrotał.

— To znaczy, że ty wzywasz kogoś! — domyśliłem się. — Nie! Myślisz, że tam ktoś, daleko, sprzęgnięty jest

z tobą. Tak. I myślisz, że jeśli ty tu całym swym ciężarem opadniesz bezwładny, szarpniesz niewidzialnym łańcuchem tak, że przyciągniesz „ktosia“ tu, do siebie. Ale gdybyś ty naprawdę z „ktosiem“ był związany, wzywałbyś go inaczej, a tak to ty chcesz się tylko dowiedzieć, czy....

— Jest! — szepnął Sanio.

— Tak!

— Tsss!...

Nawet oddechy ścichły.

— Prędko! — pomyślałem.

Czułem falowanie stołu — nie, falowanie w stole, w drewnianym jego blacie. Jest! Z całą pewnością!

— Nie wzywajcie nikogo, nie pytajcie o nic, nie każcie mu nic robić! — szeptał szybko Grubas. — Zostawcie go, niech się sam zgłosi!

— On wie, kto to jest! — przemknęło mi przez głowę. — Albo też spodziewa się kogoś. Zaraz. Jeśli „on“ przyszedł i to tak prędko, to znaczy, że chce... W takim razie...

— Pozwólcie, że zapalę papierosa! — odezwałem się. — To przecież nie szkodzi.

— Pal! — mruknął Sanio.

Przy świetle zapalki obrzuciłem wzrokiem towarzyszków. Sanio siedział wyprostowany, z głową nieco cofniętą w tył i ze zwykłą swą, pogardliwie ironiczną miną. Chińczyk pochylił się nad stołem jak gdyby coś czy-

tał, zaś Grubas, nadstawiając swą kulistą, kędzierzawą głowę niby do uderzenia i uniósłszy swe potężne bary, siedział z zamkniętymi oczami i porytem poprzecznymi zmarszczkami czołem, pod którym widniała jego twarz stężała, w tej chwili twarda, z zamkniętymi oczami, rzekłbyś, pogrążona w złym śnie.

Zgasilem zapalkę i znów zapadliśmy w ciemność.

Zimny wiew owiał mi twarz i ręce.

Stół pulsował.

Trzask!

— Nie puszczać go! — mruknął Grubas.

Znaczyło to, aby się do „ducha“ nie zwracać.

W blacie znów mocno, sucho trzasnęło.

Stół stuknął kilkakrotnie nogą w podłogę. Stuknięcia były mocne, równe, rzekłbyś — świadome siebie. Po chwili w ciszy i ciemnościach wyczułem — widać nie było nic! — że coś się dzieje, i w tej chwili, wytężywszy wzrok, ujrzałem w powietrzu naprzód niewyraźny, czarny kształt — stół podniesiony! — poczem nastąpił głośny stuk, jak gdyby coś ciężkiego spadło na podłogę i stół posunął się ku Grubasowi, który mruknął niezrozumiale. My siedzieliśmy cicho. Stół, opadłszy, dygotał przez chwilę, potem zaczął się kiwać, kręcić, a nagle poderwał się, zawisł w powietrzu tak wysoko, że wszyscy zerwaliśmy się ze stołków, i całym ciężarem runął na Grubasa.

— A, jesteś! — wykrztusił Grubas chrapliwie przez zaciśnięte zęby. — Wiedziałem, że przyjdiesz!

Stół zaczął się cofać ku mnie.

— Nie możesz się wyzwolić, co? A tak! I co? Nie udało się. Uwaga! — krzyknął naraz.

Stół, rozmachnąwszy się, z głośnym łomotem skoczył naprzód tak szybko, że musieliśmy pobiec za nim. Rozwścieklony mebel parł na Grubasa, który się przed nim cofał. Równocześnie zdawało się, że wszystko w pokoju się wali — coś sypało się ze ścian, przewracało się, dzwoniło, trzeszczało... Wreszcie stół z głośnym hałasem opadł jednym bokiem na ziemię.

— Dźwignąć! — zakomenderował Grubas.

Postawiliśmy stół i — wszystko ucichło.

— Mocna cholera! — zaśmiał się Grubas. — Ja tego chama znam! — dodał.

— Ładne masz znajomości! Zrobić światło?

— Trzeba będzie! Musimy zobaczyć jakiego tu bałaganu narobił.

W białym świetle dwóch latarek elektrycznych ujrzelśmy leżące na ziemi ubranie Grubasa, otwartą szafę, książki zwalone z szafy, wreszcie wyrzuconą na środek pokoju otwartą walizę z brudną bielizną, na białym dnem do góry leżał nocnik.

— Patrzcie go! Jaki zły! A jak prędko się nam zameldował! — wołał Grubas. — Czekajcie! Krzyknę na Syfilidę, żeby lampę przyniosła...

Kiedy Syfilida wniosła lampę i pomogła Grubasowi

przywrócić w pokoju zwykły, codzienny nieład, posiadaliśmy, gdzie się dało i zapaliliśmy papierosy.

Odpoczywając po wrazeniu, myślałem o tem, jak taki, mało subtelny i wrażliwy napozór człowiek, taki byk, jak Grubas, może starać się obcować z istotami wyższemi, do których niby zalicza się duchy.

— Jaki pan, taki kram! — mówił Sanio. — Stąd wniosek łatwy! Wprawdzie Maeterlink mówi, że duchy zachowują się zupełnie tak samo, jak my, ale —

— Zamało wiemy, aby o tem móc mówić.

— Ja uważam to za projekcję siły Grubego! — wnioskował Sanio. — Zjawiska były takie, jak i on: Hałaśliwe, mocne, trochę bezwzględne, brutalne, z pewnym rubasznym humorem.

— Dziękuję!

— A wszystko razem trochę niesamowite! — dodałem. — Wobec tego ta hałaśliwość i rzekoma brutalność byłaby pozą, za którą kryłaby się może —

Grubas szybko rzucił na mnie wzrokiem, ale udał, że nie słucha.

— Zwykła sentymentalność! — skończył za mnie Sanio. — Być może.

— Tak!

— Może tak, a może nie! Cóż ja wiem?

— Cóż ty myślisz? — odezwał się Grubas. — Ta gadaj!

— Ja nic nie wiem. Ale mogłyby to być także odgłosy jakiejś walki...

— Mogłyby być! — przyznał Grubas.

Rozpoczęła się zwykła po-seansowa dyskusja o spirytyźmie, która rozwinęła się tak, że tego wieczoru nie robiliśmy już więcej żadnych prób.

ZIMNA RĘKA

czyli jak Grubas chciał złapać diabła.

Dla dalszego ciągu opowiadania nie od rzeczy będzie określić stanowisko, jakie każdy z nas wobec spirytyzmu zajmował.

Ja miałem ze spirytyzmem do czynienia od dziecka. Zaznajomiłem się z nim przy pewnej sposobności w salonie rodziców jako dwunastoletni chłopak. Pojawił się wtedy mianowicie w Krakowie pewien pan, który stale chodził w czarnej czamarze i wielkiej, oryginalnego kształtu futrzanej czapie litewskiej, twarz miał jakby żywcem wyciętą z rysunków Andriollego (z którym swego czasu żył w przyjaźni i który go kilkakrotnie używał jak modelu), zachowanie się miał bardzo wytworne i światowe, a nazywał się, lub też podawał, że się nazywa, Oskragiello. Był to Towiańczyk, gorący patryjota starej daty, wielki miłośnik literatury i sztuk pięknych i bardzo zacny starowina. Żył skromnie z małego kapitału, na ubranie wydawać dużo nie potrzebował, bo wszędzie chodził w czamarze, obiady bardzo tanie a smaczne—po 35 centów!—jadał na Szpitalnej u pani Kozłowej.

skiej, u której stołowała się połowa malarzy z Akademii Sztuk Pięknych, chodził po Plantach albo na wizyty i opowiadał różne fantastyczne historie. Był to romantyk i jako się rzekło, mistyk. Twierdził, że każdy człowiek ma swego „ducha“, który mu się czasem objawia. On sam widział kilka duchów, a przykomenderowanym do niego duchem był duch Samuela Zborowskiego, którego raz spotkał na ulicy w Londynie. (Owszem, pan Oskragiełło dużo podróżował, w młodości był nawet bogaty i należał do „złotej młodzieży“ warszawskiej, z czego łatwo się domysleć, że na starość nic nie miał). Tego ducha poznał po tem, że „zupełnie mu Samuela Zborowskiego przypominał, a oprócz tego miał czerwoną, krwawą pręgę na szyi“. Tak rodzicom moim i nam, chłopcom, opowiadał pan Oskragiełło raz po dobrym obiedzie, siedząc przy czarnej kawie za długim stołem, na którym między srebrnymi kandelabrami z płonącymi świecami, stały jeszcze niesprzątnięte kosze owoców i bakalij.

Po obiedzie odbył się pierwszy mój seans, który się najzupełniej nie udał, ale podczas którego pan Oskragiełło „nastrojowym basem“ bardzo pięknie opowiadał nam historję o Katy Queen. Zwłaszcza pożegnanie zmuszonej znów do powrotu w „podziemia“ pięknej i łagodnej Katy wzruszyło mnie do łez. Od tego czasu byłem zapalonym miłośnikiem spirytyzmu i nic więcej. Poważnie nigdy się nim nie zajmowałem, a co się tyczy teorii, podczas seansu zgodzę się zawsze na tę, która mi najsilniej przemówi do wyobraźni, na drugi dzień zaś

bez żadnego sprzeciwu przyjmę każde inne uzasadnienie, i w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi. Taki już mam charakter. (Choć nigdy duchów nie widziałem, wierzę w nie wiarą dziecka. Prawdopodobnie przestałbym wierzyć, gdyby mi się który z nich kiedykolwiek pokazał).

Sanio zapatrywał się na rzecz materialistycznie. „Nieznane siły“. Bardzo słusznie, doskonale określenie. Człowiek może wszystko i wie o tem. Telepatja? Naturalnie, nic dziwnego. Mamy telegraf, telefon, radio. Człowiek wie, że wszystko może i wszystko potrafiłby, wie też, że to „wszystko“ to właśnie jest jego przeznaczeniem, celem, że tam dopiero zaczyna się prawdziwa jego twórczość.

— Ale my jesteśmy zanedo rozproszkowani, rozproszeni, nie możemy się temu poważnie oddać, musimy zarabiać na życie... Cała Ludzkość czuje, że to jest nie w porządku, na tem tle powstają te wszystkie zaburzenia ekonomiczne i socjalne.

Nie spodziewałem się, że Sanio tak głęboko i — mojem zdaniem — trafnie ujmie tę rzecz.

Chińczyk mówił na to wszystko:

— Tak!

Grubas?

Grubas był dość inteligentny, aby oceniać rzecz wszechstronnie, ale nie wiem co pchało go ku pogładowi Kościoła katolickiego.

— Ta zabawa wcale nie jest niewinna! — mówił. —

To jest, ona może być niewinna dla naiwnych, którzy ją niewinnie traktują. Ale takie igraszki panieńskie nie mają żadnego głębszego znaczenia, choć też nie są odpowiednie. Djabeł nie śpi.

— No! Więc ty poprostu mówisz, że to djabeł! — odezwałem się.

— Ta powiedz sam: Czy porządnemu duchowi chciałoby się gadać z ludźmi, przeważnie głupimi, przez stołową nogę? Tyby wylazł z zaświatów, jakby ciebie pierwszy lepszy Smrut czy Wokanda wołał i pakowałby ty się w nogę od stołu albo inny mebel, żeby z ludźmi gadać o głupstwach? Ta gdzie! Śmij się z tego! I żaden inny szanujący się duch nie dałby się namówić do tego, żeby po śmierci albo i za życia komedje przed ludźmi wyprawiać! Tylko zły, tak jest, Zły! korzysta z każdej sposobności, żeby się z człowiekiem zetknąć i w jakiś sposób go oćmić!

— Nie gadaj głupstw! Znalazłby sobie lepszy sposób, nie taki ordynarny! — odezwał się Sanio. — Wywracanie mebli, dzwonienie, rozbijanie naczyń — to nie jest odpowiedni dla ducha sposób dokumentowania swej obecności! Daj spokój.

— Ta po co on ma się szarpać na coś nadzwyczajnego, jeśli to wystarcza! — mówił Grubas. — Ty nie wiesz, jacy ludzie głupi są? A oprócz tego powinienes wiedzieć, że djabeł kocha się w ordynarnem, plugawem chamstwie, we wszelkiej trywjalności, w potworności głupoty, w szpetności, w smrodzie... Tak jest, wiedzą to lu-

dzie od dawien dawna... Banalność, tępota, nuda, szaryzna, bezmyślność, pospolitość — to djable kochanki i djable służki! Po co mu się sadzić na jakieś sztuki, kiedy on człowieka zreferuje w najgłupszy w świecie sposób! Wlezie w nogę stołową, stłucze szklankę, uszczypnie kogoś, powie głupstwo czy świństwo, a wszyscy pootwierają gęby z podziwu! Gdyby człowiek się tak zachowywał, wyrzuconoby go za drzwi! A te „duchy“ seansowe —

— Tak! — przyznałem. — Te seansowe „duchy“ są przeważnie nadzwyczaj ordynarne!

— Ależ to nie są żadne duchy, tylko naturalne, ale nieznane siły człowieka! — wykrzyknął Sanio.

— O duchach nic nie mówiłem! — sprostował Grubas.

— Tak! — przyznał mu Chińczyk.

— Gorzej jeszcze! Mówiłeś o djable!

— Przyznaję! Ale nie moja wina! Muszę się czegoś trzymać, jeśli o tych rzeczach mam mówić tak, abyśmy się mogli porozumieć. Co Kościół rozumie przez diabła, wiemy wszyscy...

— Ba! To ułatwienie zbyt wielkie!

— Trudno!

— Ta co mamy sobie napróżno głowy zawracać! Ty czytał powieść Jana Łady na tle spirytystycznym? Nie pamiętam już jaki tytuł...

— Macie! On mi będzie lał ze spirytyzmem do powieści! — zirytował się Sanio.

— Ty się znowu nie masz czego tak bardzo szarpać!
— mitygował go Grubas. — Z powieści też nie jednego można się dowiedzieć!

— Naprzykład Verne! — wtrąciłem.

— Verne nie Verne, stara historia, ale ten Łada na spirytyzmie trochę się zna, zaraz się dowiesz dlaczego, a on całkiem poprostu twierdzi, że spirytyzm jest dla djabła środkiem do opętania. Tak pisze on, Łada, wcale niezły pisarz i bardzo inteligentny człowiek, ksiądz, były mój katecheta... Ten na opętaniu z pewnością trochę się zna...

— Bennet też twierdzi to samo w swych „Nekroman-
tach“ — dodałem. — Wzywanie duchów uważa za nekromancję, a cały spirytyzm wogóle za magję.

— Więc skoro jesteś tego zdania, czemuż bawisz się spirytyzmem? — zapytał Sanio Grubasa.

— To znowu co innego!

— Rabindranath Tagore również bawił się spirytyzmem! — wtrąciłem. — Ale on to uważał za szlachetną rozrywkę w swoim rodzaju, nic więcej... Píše o tym w swych „Wspomnieniach“.

— Eee! Snobistyczny, zadowolony z siebie burżuj! — zachnął się Sanio.

— Tak! — przygwoździł Chińczyk.

— Ale bądź co bądź gentleman i człowiek wierzący, który nie byłby się paprał magją...

— Ja tam nie wiem! Ale mniejsza z tem!

Przytaczam te rozmowy tylko dlatego, aby scharakteryzować nasz stosunek do spirytyzmu. Wszyscy byliśmy dyletantami; prawdziwego spirytysty między nami nie było.

A seanse odbywały się swoją drogą i muszę stwierdzić, że były dość burzliwe i w złym stylu. Coś się za każdym razem szamotało po pokoju, rzucało sprzętami, wywlekało ubrania, bieliznę, rozwłóczyło pościel. Jednego wieczoru prześcieradło wyfrunęło z łóżka i zawiśnięwszy na szafie, nabawiło mnie niemałego strachu. Po stole biegały fosforycznie świecące plamy, ale nie pokażało się nigdy nic. Czy lokal temu był winien czy co, trudno było powiedzieć, naogół jednak zachowanie się „nieznanych sił“ było karczemne.

Wszystkie te seanse miały charakter jakby osobisty — co się tyczy Grubasa. My byliśmy komparsami i mimowolnymi świadkami walki, jaką on toczył z kimś nieznanym. Z kim? Trudno się było domyślić z urywanych zdań, jakie podczas swych zmagania się w ciemnościach wygłaszał. Czerpał z nas energję, pozwalając nam za to asystować sobie w jakimś dramacie, w którym nie mogliśmy się połąpać.

Aż wreszcie przyszedł wieczór, który seansom naszym położył kres.

Pamiętam go doskonale.

Za oknami była czarna, deszczowa noc, a wicher był strasznie. W kominie lichy jakiś gwizdało przeciągle,

ironicznie, złośliwie. Karczma, choć murowana, drżała w posadach tak, że chwilami stół dygotał, jak w febrze.

Siedzieliśmy dłuższy już czas w milczeniu, zamyśleni i niezbyt pogodnie nastrojeni. Już parę poprzednich wieczorów mocno nas speszyło. Niewidzialny wyprawiał takie awantury, że trudno było wytrzymać. Nie była to żadna jakaś planowa akcja, lecz wybuchy, nagle, dzikie wybuchy złości, po których następowały dłuższe przerwy.

Rzecz dziwna! Mimo, że wszystkie te paroksyzmy wściekłości zwracały się przeciw Grubasowi, on się z nich śmiał. Ile razy waliło coś na niego, a raz „wyrznęło” w niego jego własną laską tak, że na czole miał guza, on wybuchał śmiechem i mruczał z niezrozumiałą satysfakcją:

— A widzisz, a widzisz, draniu, ty gadzie, widzisz! Nic mi nie zrobiłeś i już nie zrobisz! Fizycznie to ja jestem od ciebie silniejszy —

Rrrrym!

Ciężka komoda podjechała ku nam.

— Ou-wa! — śmiał się Grubas. — Chcesz mi pokazać, że ty także jesteś mocny? Ta co to za sztuka w ciemnościach hałasować! Ty by się pokazał, spróbował by ty się ze mną! Ale co — ty do mnie prawa żadnego nie masz! Ani do ciała, ani do duszy!

Sania te głupie „rozmówki” irytowały tak, że beształ za nie Grubasa, a Gruby przepraszał, ale już po chwili zaczynał znowu, chichotał i szeptał, a to było dziwnie

nieprzyjemne, bo i chichot jego był przykry, niezdrowy i szept nieswój, czemś złem nasycony. Cokolwiekby zresztą było, wszyscy domyślaliśmy się w tem jakichś przejść niewesołych i bardzo ciemnych, wcale nie nęcących. Ani ja, ani Sanio nie byliśmy nerwowo dysponowani tak dobrze, aby to mogło na nas nie działać, przynajmniej ja tyle miałem do czynienia ze swą własną, ledwo zremontowaną psychę, że wcale nie pragnąłem zaglądać w cudzą, jak się obawiałem, niezbyt dokładnie jeszcze wykadzoną.

Tego wieczoru, o którym tu mowa, Niewidzialny zachowywał się względnie spokojnie. Raz wyrznął pięścią w drzwi od szafy, drugi raz jednym szarpnięciem przysunął łóżko z kąta do drzwi i wsunął znów do kąta, z czego Grubas bardzo się śmiał, ale naogół wybryki jego nie przekraczały, iż tak rzekę, granic przyzwoitości.

Tak tedy siedzieliśmy w milczeniu, czekając bez zbytniego zaciekawienia, bo prawdę mówiąc, już nas to głupstwo zaczynało nudzić. Słysząc było tylko wycie wiatru, dygotanie szyb w oknach i drwiące pogwizdywanie w kominie. Stół drżał tak zwanym animalnym ruchem, co świadczyło, iż energja gromadzi się w nim, nie uchodzi — zjawisk żadnych nie było.

— A może drań dziś nie przyjdzie? — zapytał po jakimś czasie Sanio przyciszonym głosem.

Dranie nazywaliśmy Niewidzialnego.

— Czemu miałby nie przyjść? — rzekłem również półgłosem.

— Mogło mu się już znudzić tak, jak i nam się już znudziło! — odpowiedział Sanio.

— Tak! — potwierdził Chińczyk.

— Ja mam wrażenie, — mówiłem, — że drań ma ośbicie z Grubym na pieńku i dlatego przyłazi...

— A skąd wiesz, że to jeden i ten sam? — zapytał Grubas.

— Wnioskuje tak z jego zachowania się. Nikogo nie zaczepia, tylko ciebie.

— Bardzo możliwe! — rzekł Grubas. — Miałem raz z jednym do czynienia... Nawet wiem, jak się nazywa.

— Jak?

— Nie powiem!

— A swoją drogą ty go zbyt ordynarnie traktujesz! — zaczął znów Sanio.

Coś, jakby zimny oddech, dmuchnęło mi w twarz.

— On tu jest między nami! — szepnąłem. — Czulem — w tej chwili w twarz mi dmuchnął.

— Tak! — potwierdził Chińczyk.

— Mnie też! — rzekł Sanio.

Grubas milczał.

— Może lepiej nie mówić? — zapytałem.

— Ach! Także coś! — rzucił lekceważąco Grubas. — Nic nam nie zrobi! Sił nie ma!

W tej chwili głucho huknęło coś o podłogę.

— No! — rzekłem. — Żeby tak którego z nas gruchnął w łeb —

— Ttta - ak! — wyjąkał Chińczyk.

— Cicho! Nie gadaj głupstw! — syknął na mnie Sanio. — Cham jest, a ty go jeszcze podjudzasz!

— Wszystko jedno! — odpowiedziałem. — Czy powiem głośno, czy pomyślę — on i tak wie!

— A właśnie, że nie! Przynajmniej nie zawsze! — odezwał się Grubas. — Zmaterjalizowany do pewnego stopnia, musi się też w pewnym stopniu stosować do praw materji...

Cisza była.

Wiatr ucichł.

Naraz na małym palcu lewej ręki uczulem nacisk długiego palca prawej ręki Chińczyka. Było to dotknięcie, niby długi, ostrzegawczy dzwonek.

Ostrożnie powiodłem wzrokiem w ciemnościach, ale nie zauważyłem nic.

— Więc sądzisz, że on myśli nie widzi? Bo myśl — to przecie fosforescencja mózgu, zjawisko również naturalne! — mówił Sanio.

— Przekonałem się, że nie.

Znowu długi nacisk palca Chińczyka.

— Co u stu djabłów? — mruknąłem.

W tej chwili obejrzałem się — bo nagle usłyszałem ciche, lecz wyraźne, skradające się stapanie.

Pac — pac — pac — pac!

Myślałbyś, że ktoś bosy, stąpający powoli, ostrożnie, choć niezbyt cicho, krąży po pokoju dokoła nas.

— Czy to to? — zatelegrafowałem Chińczykowi palcem.

— To! To! To! — odpowiedział trzykrotnie naciśnięciem palca.

Ciap — ciap — ciap — ciap! — okręzało nas zwolna.

Sanio prawdopodobnie też coś zauważył, bo zamilkł. Słysząc było sapanie Grubasa.

Ciap — ciap — ciap!

— Uhm! — mruknął Grubas.

— Łazi! — szepnął Sanio.

— Tak!

— Jakiś nowy kawał!

— Pac — pac — pac — pac!

Cóż ten drań nowego wykombinował! — rzekł bezceremonialnie Grubas. — On jest dziś bosy — słysząc wyraźnie! — i zdaje się, jakby nogi miał mokre... Stopy tak chlapią...

Pac — pac — ciap!

— Może on kogo naśladał na ciebie? — przyszło mi na myśl.

— Może! W każdym razie uważajcie i nie dajcie się spłoszyć... Jeśli to jakiś nowy kawał, to z pewnością nie będzie przyjemny...

— Może zapalić światło?

— Dlaczego? Mam wrażenie, że dziś coś nowego zobaczymy...

— A czy taki gad nie może być niebezpieczny? — zapytał Sanio.

— Niby jakto?

— Fizycznie.

— O ile ja wiem — nie!

— O, przepraszam! — odezwałem się (właśnie dlatego, że się trochę bałem tego głupiego „ciap! ciap“ i dużo dałbym za to, żeby zgodzono się na zapalenie światła). — Opowiadał mi swego czasu Abramowski, że gdy się raz podczas seansu do jakiegoś ducha niegrzecznie odezwał, ten oderwał poręcz od krzesła i tak go trzasnął w twarz, że mu wargę przeciął. Pokazywał mi bliznę. Abramowski wogóle zawsze się bał podczas seansów i zachowywał się zwykle bardzo ostrożnie, a to był przecie specjalista, dyrektor Instytutu psycho-fizycznego w Warszawie, z różnemi zjawiskami otrząskany!...

Mówiłem niby spokojnie, ale, prawdę mówiąc, z trudem panowałem nad głosem. „Ciap — ciap — ciap!“, krążące dokoła stołu, było coraz bliżej.

— Dotyka mnie! — szepnął nagle Sanio. — Ramię, coraz niżej... kark... zimna ręka...

— Czy który z was kogo może wzywał? — odezwał się Grubas trochę zaniepokojonym głosem.

— Ja nie! — odpowiedziałem.

— Ani ja!

— Ja także nnie!

— Faj! — krzyknął Sanio. — Zimny i oślizgły jak wąż! On jest mokry! Brr! Obrzydliwość!... Po twarzy maca... Obmacuje jak ślepy... Idź odemnie! Fe! Jak wąż... pełza po całym ciele —

— A może to wąż! — zapytał Grubas.

— Nie! Ręka! Czuję palec. Trup czy co....

Tuż koło Sania siedziałem ja i można sobie wyobrazić, z jaką tremą oczekiwałem swej kolejki.

Nareszcie „to“ doszło do mnie. Niewidzialna ręka chwyciła mnie mocno za przedramię i potrząsnąwszy nim kilkakrotnie, przesunęła się na ramię, które obmacała, jakby próbując mięśni. Następnie —

— Uj, jakież to obrzydliwe! — krzyknąłem prawie z płaczem.

Zimne, wilgotne palce oplątały mój kark i ścisnąwszy go silnie, próbowały mną potrząsnąć.

— Uważajcie, „on“ jest mocny — zawołałem. — Pazury ma ostr—!

Podczas gdy jedna wilgotna zimna ręka trzymała mnie mocno za kark, druga naraz zamknęła mi usta tak, że nie mogłem słowa dokończyć. Po chwili zimne palce, zakończone ostremi, szpiczastymi paznokciami, obmacały mą twarz, polechtały mnie pod szyją i wśliznęły mi się w rękaw, drapiąc zlekka rękę koło puls. Mimo, że położenie moje było nieprzyjemne i, jak się tego obawiałem, może niebezpieczne, nie mogłem wytrzymać, aby nie szepnąć:

— To może być upiór! Zanadto lubi łaskotać pazurami miejsca koło arterji!

— Tak! — wykrzyknął w tej chwili Chińczyk.

— Ciebie teraz pieści?

— Tak! — jęknął mineralog.

— Przyjemny, co?

— Uuuuu! Bb... b... bbardzo! — wyjąkał biedak!

— Niech-no on tylko przyjdzie do mnie! — mruknął Grubas. — Zobaczymy!

W ciągu seansów zauważyłem niejednokrotnie, że Grubas zachowuje się tak, jak gdyby czuł jakąś przewagę nad „draniem“ i chciał go zgnębić. Nie uważałem tego za mądre. Prawda, nic mu bezpośrednio nie groziło, jednakże przewagi nad draniem nie miał, bo gdy ten był niewidzialny, nieuchwytny i, co gorsza, nieznaną, Grubas był, koniec końców, tylko Grubasem.

Chińczyk stękał, wreszcie odetchnął z ulgą. Teraz przysła kolej na Grubasa.

— Czujesz go? — zapytałem.

— Czuję drania, czuję... o, złodziej, jak to pazurkami żył próbuje... tak... tak... a ostre pazurki... Cap!

Zakotłowało się naraz w ciemnościach! Słyszałem, jak Grubas szybko rzucił przez zęby: — Tak! Masz! Czeka! — coś się skłębiło, stół odleciał, Grubas zerwał się, runął na ziemię, jęknął i zaczął bełkotać:

— Dusi! Światło! Światło!

Błysnęliśmy z Saniem lampkami.

Grubas leżał na podłodze, przewrócony na wznak, trzymając ręce przy gardle tak, jak gdyby chciał coś od niego oderwać. Gdy nasze światła błysnęły, usiadł na ziemi i przez chwilę przypatrywał się nam pociesznie wybaluszonymi ślepiami.

Chińczyk wybiegł do sieni i na cały głos zaśpiewał na nutę: „Młodości ja chcę“!

— Sy-fi-ili-do przy-y-nieś lampę! Sy-fi-ili-do przy-y-nieś lampę!

— Słowiczku mój! A leć!, a piej! — mruknął Grubas. — Ale mocny drań!

— Co ci się stało?

— Nic mi się nie stało! Co mi się miało stać! — mówił Grubas, wciąż jeszcze siedząc na podłodze. — Zaczyna mnie macać, rozumiemy? Siedzę cicho, nie gadam nic!... Madźga mnie temi swemi trupiemi łapami po twarzy — ja nic! Tylko se myślę: — Draniu jeden! Gdzieby za dawnych czasów szlachciec jaki, który z djabłem w konszachty wchodził, abo chociażby i ten chłop, pozwolił się madźgać tak brudnemi, śmierdzącymi łapami djabłu po głowie! Strzeliłby w pysk, ażby się zakurzyło, taj tylko! A tymczasem jemu tego mało, dobiera mi się do gardła, zaczyna dusić... Tego już mi było za dużo... Ta co jest znowu, do cholery ciężkiej... Złapał ja go za te jego zimne graby, złapali my się za łby —

— Nie łżyj, Grubas! — krzyknąłem.

— Ta co mam łgać! Dusił mnie, skurczybyk, tak, że aż mi gały na wierzch wylazły! To z pewnością upiór jaki był naślany przez tego drania, że mnie prześladował w Poznaniu... Ten mi dopiero szkołę dał, niech go szlag trafi! Ale ja mu się przecie nie dał!

Kiedy uroczą Syfilida wniosła lampę i nieco uduchowionemu pokojowi przywróciła poprzedni wygląd zwykłego bałaganu, Grubas wstał, otrzepał sobie spodnie

i macając się za grdykę, rzekł ochryple, chrząknąwszy parę razy:

— Silny drań! Musi być upiór abo co...

— Więc ty, idjoto, chciałeś djabła złapać? — krzyknął na niego Sanio.

Grubas poskrobał się za uchem, powiódł po nas wzrokiem i rzekł:

— Angenommen, że on jest i angenommen, że on sam się do nas pcha w jakiegokolwiek uchwytnej postaci, nie widzę przyczyny, żebym go nie miał złapać, jeśli to tylko możliwe, i kazać mu sobie służyć.... Mogą, czy mogli inni, mogę i ja... Możeby się z tego zrobił jakiś nowy, nadzwyczajny motor lub wogóle coś „bez drutu“... Bardzo możliwe... Ja o tem nieraz myślałem! Jeśli to siła — mniejsza z tem, jaka, ale siła!... Nieznana! Co jest? A elektryczność jest znana? Też nie! Siła? To kazać jej służyć! Ou-wa! Djabeł! Wielkie rzeczy! Business is business, nie? Ale wobec tego dajcie mi papierosa i napijmy się koniakowi, bo ja jeszcze trochę tego...

Żaden z nas przeciw koniakowi nie zaprotestował. Wszyscy byliśmy po tym seansie „trochę tego“...

Grubasa pomyślał zmuszenia sobie do służenia djabła, rozbawił Sania, który zaczął go o to indagować.

Wkrótce ogarnęło nas trochę nienaturalne podniecenie — zrozumiałe po niemiłych i gwałtownych wrażeniach seansu. Zaczęliśmy gadać i gadać, co pomijam, przechodząc wprost do opowiadania Grubasa, które podaję tak, je słyszałem, bez żadnych ozdóbek.

Jest w niem niewątpliwie mnóstwo niedorzeczności. Ale każdy tłumaczy sobie swe cierpienia i przejścia jak umie i jak je rozumie. Grubas podał je w kształcie djaboliczno-groteskowym, podlane cuchnącym sosem z ko-
tła czarownicy. Może to być zabobonne, ale jego prze-
życia i obrazy są niewątpliwie frapujące. Znając go,
wiem, że nie zmyślał — zresztą to widać z jego opowia-
dania. Jeśli oczyścimy je z interpretacji satanistycznej,
pozostanie nam rzadko spotykany a nadzwyczaj pla-
styczny obraz halucynacji na tle alkoholizmu, halucyna-
cji potrójnej, mianowicie: wzrokowej, słuchowej i doty-
kowej. Da ona nam pewne wyobrażenie o mękach, ja-
kie ludziom nieszczęśliwym przypadają czasem w udzia-
le.

Pewne obycie się i odczytanie Grubasa w sprawach
magji tłumaczy się jego romantycznym, mimo wszyst-
go, sposobem myślenia. W tem, co mówi o propagan-
dzie magji, ma zupełną słuszność.

SAM WŚRÓD LUDZI.

Grubas zaczął opowiadać:

— Proszę, słuchajcie uważnie i cierpliwie, bo ja mam
tak trywjalny sposób wyrażania się, że trzeba prawdzi-
wej inteligencji, aby mnie należycie zrozumieć.

— No, no! Tylko bez zarozumiałości! — próbowałem
go poskromić.

— Proszę cię, nie przeszkadzaj mi, bo mnie spieszył!
— rzekł Grubas, wyciągając w moją stronę rozczapierzo-
ną dłoń, jak dyrygent, który ścisza pewną część swej or-
kiestry.

— Nie bierz mu tego za złe, Grubasie! — łagodził
uprzejmie Sanio. — To z jego strony nie była bynaj-
mniej zła wola, tylko zwykła niedelikatność.

— Poszło o kobietę! — oświadczył Grubas i umilkł.

— Tak! — rzekł po dłuższej chwili Chińczyk, podczas
gdy Grubas spuścił głowę, jakby zamyślony czy zawsty-
dzony zdmuchując popiół z papierosa. — Tak! — powtó-
rzył.

— To naturalne! — wtrąciłem — zupełnie naturalne!

— Niby co jest takie naturalne? — spytał Grubas,

podnosząc na mnie swe oczy, w tej chwili ciężkie, zmęczone.

— To, że ty się zakochałeś, — odpowiedziałem — i że z tego powodu później cierpiałeś. My z naszymi głupcami sercami zawsze tak na tem wychodzimy. Więc nie masz... nie masz czemu... się dziwić.

— Tak! — potwierdził Chińczyk.

— Więc nie potrzebuję wchodzić w szczegóły i opowiadać, że —

— Że, jak tyle milionów innych, była jedyna i naprawdę wyjątkowa? — zakończył za niego Sanio. — Tak, nie potrzebujesz nam tego opowiadać, sami o tem doskonale wiemy. My wogóle nie znamy innych kobiet, jak tylko jedyne i wyjątkowe — przynajmniej o ile chodzi o nas, o naszych przyjaciół i znajomych...

— Tak! — zaświadczył Chińczyk.

— Kiedy sprawa rozwikłała się, zaczęła się wikłać — opowiadał dalej Grubas.

— Tak! — wtrącił z przekonaniem Chińczyk.

— Będziesz ty cicho? — wpadłem na niego.

— Tak! — przyrzekł skwapliwie.

— Zauważyłem mianowicie, że nie mogę bez niej żyć. Ostatecznie byłoby to jeszcze głupstwo, ale gorzej było, że nie mogłem wówczas pracować, przez co bardzo dużo straciłem, bo moje roboty były w związku z P. W. K. Poniosłem ciężkie straty materialne.

— Mniejsza z tem! — próbowałem go pocieszyć. — W życiu nie zawsze się wie, co jest stratą, a co zyskiem.

— Zapewne! — przyznał Grubas. — Ale, że materialnie straciłem olbrzymio, to pewne! A nie mogłem nic robić, bo piłem. To muszę zaznaczyć.

— I podkreślić! — wtrącił Sanio. — Bo to twoje ówczesne pijaństwo na podkreślenie zasługuje. Piłeś wtedy demonicznie! Wiem coś o tem!

— Demonicznie! Oto i właściwe słowo! — przyznał Grubas. — Dla wytłumaczenia powiem wam tylko tyle: W życiu mem powstała luka, której nic nie mogło zapłacić. Gdyby mi wówczas darowano to, co mogłem być na P. W. K. zarobić, nie zmieniłoby to w mym sposobie myślenia nic a nic —

— W sposobie niemyślenia chyba, chciałeś powiedzieć — poprawił go Sanio.

— Masz słuszość! — zgodził się Grubas. — Pocóż więc było mi męczyć się, dręczyć i niepotrzebnie próbami robienia czegoś zawracać sobie i drugim gitarę, skoro mnie to wszystko nic a nic nie obchodziło i do pracy nie byłem zdolny?!

— Tak! — przypieczętował Chińczyk.

— Więc piłem. To znaczy, właściwie, zajęty byłem zupełnie czem innym... Ale zaraz! Opowiedzmy to porządnie. Przed wyjazdem do Poznania — a przyjechałem tam gdzieś w połowie zimy, z końcem stycznia — byłem w towarzystwie, powiedzmy, ludzi dzikich, mniej-sza z tem gdzie, w górach, czy nad morzem, gdzie żyłem i męczyłem się, jak lew, ale jak ranny lew! Dzika przyroda, dzicy ludzie, dzikie życie, noce pełne przywi-

dzeń a długie nieskończenie, przypływ brutalnych sił fizycznych coraz większy, z tem jakaś złość, jakieś szarpnięcie się z cierpieniem, wielkie znecierpliwienie, wreszcie — burza, sztorm-pest-arkun, jak mówią rybacy — no i Poznań, ciche, jasne porządne restauracje, po przydomionej słoninie rybackiej ludzkie jakieś jedzenie, po chamstwie morza gładkość miasta —

— To ty byłeś wtenczas nad morzem? — zapytałem.

— Co? Ja? No tak, wygadałem się, mniejsza z tem. Nie wchodźmy w szczegóły. Tam, nad morzem, w jednej małej, biednej, ciemnej wiosce rybackiej został na zawsze mój ból... Te!... Mniejsza z tem! Cicho! Cicho! Cicho!

To „cicho“ kilkakrotnie powtórzone, Grubas wyszczał z tłumionym jękiem.

— Mniejsza z tem! — powtórzył.

Widziałem, jak mu się pierś wysoko podnosiła. Zrozumiałem, że jeszcze cierpi.

— Tak! — przygwoździł Chińczyk.

— No, wszystko dobrze albo i nie, ale w tym Poznaniu byłem jakby wypatroszony. Nic w kichach nie miałem. Łaziłem po mieście, przyglądałem mu się i myślałem: — Ładne — i koniec. Proponowano mi różne interesy, myślałem sobie znowu: — Ładne! — i koniec. Żyłem — czułem już, że żyć chcę i będę a to było dużo! — ale nie wiedziałem czem będę żyć i z czego, a na nie nie miałem ochoty. Robiłem głupstwa — i tyle! Przypinali się do mnie różni ludzie dla interesu — ludzie

chytrzy, nie krępujący się niczem, wszystko gotowi znieść byle tylko coś urwać dla siebie. — Boże, przecie oni wiedzieli, że piję, że serjo z nikim o niczem nie mówię, że nie mogę myśleć, jak należy — ale i ci przecie w końcu odeszli odemnie, bo nie mogli wytrzymać. Nie mogli się we mnie dopatrzeć żadnego sensu —

— Może go nie było? — rzekłem.

— Był! — odpowiedział Grubas stanowczo. — Był, tylko że niektóre rzeczy musiały jeszcze ze mnie spłynąć. Tym sensem, który we mnie mimo wszystko był, była chęć życia, a wiadoma rzecz, że kto chce żyć, ten zrobi wszystko, aby tylko żyć i prędzej czy później na swoim postawi.

— Tak! — rzucił znów Chińczyk.

— Dasz ty pokój? — znecierpliwilem się. — Maścisz Grubemu tem swoim „tak“ lada komunał, a jemu się zdaje, że wygłasza lądowstrząsające prawdy.

— W komunałach jest wieczna prawda! — poświadczyl Sanio.

— Jechał je sęk! — obruszył się Grubas. — Co mi teraz po komunałach! Dość na tem, że byłbym z pewnością prędzej czy później wypłynął, bo już widziałem, że zaczyna mi świtać „jutrzienka swobody“, ale oni nie wytrzymali i wreszcie zwiali. Coś niecoś dzięki nim zobaczyłem i poznałem z podłostki ludzkiej, ale to drobiazg. Śmiałem się z tego! Nie warto mówić! Byli też i ludzie bardzo porządni, ale ci znów nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Wkładali we mnie, wypatroszonego,

swoje komunały, chcieli mnie niemi wypchać i dziwili się, że ja je wyrzucałem z siebie lub też dławilem się niemi. Z pakul próbowali zrobić mi stos pacierzowy, ze śmiecia... Dławilem się, ale nie dusilem, bo zawsze potrafiłem to plugastwo wypuścić.

Ostatecznie takie zupełne wypatroszenie zdarza się czasem! — opowiadał Grubas dalej. — I wypatroszonego można znowu wypchać, nawet trzeba, ale nie byle czem i nie zbyt szczelnie, żeby mu zostało trochę miejsca na te bebechy, które same z siebie mogą odrosnąć. Bo niektóre bebechy w człowieku to są takie, jak te reptile bajeczne, którym podobno ogon wystarczy, aby z niego mogły odrosnąć. Człowiek jest wogóle strasznie mocne bydlę.

— Bydlę to on jest, ale czy znowu takie strasznie mocne?

— Daj spokój! Jak kto chce żyć, to i kijem go nie zatłuczysz. Otóż ja czułem, że mam w kałdunie jakieś strzępki flaków, z których reszta może odrosnąć. W czym to było? Nie wiedziałem. Robilem straszne głupstwa, rujnowałem się pod każdym względem — i śmiałem się! Zdawało się — e, co się miało zdawać! Było tak! — że niby całej i suchej nitki na mnie niema, a ja się śmieję, bo czuję, że „witalne organy“, no mój „oddział maszynowy“ jest we mnie nie tknięty i w porządku i że płynę wciąż i — co więcej! — płynam i wypłynę! A to najważniejsze!

— Tak!

— Głupstwa rozmaite robić musiałem. Inaczej nie mogło być. Wyobrażcie sobie czteroletnie dziecko z doświadczeniem czterdziestopięcio letniego mężczyzny, i z moimi siłami! — no! ładna z tego wysłaby kombinacja —

— Zwłaszcza, gdy to dziecko pije! — dodałem. — Można sobie wyobrazić!

— Tak! — ciapnął znów Chińczyk.

— Bodaj cię cholera! — syknął Sanio.

— Dobrze. Pijaństwo! No, znana rzecz.. Moznaby powiedzieć jeszcze trochę o tem pijaństwie, lecz mniejsza z tem. Moznaby jeszcze wprowadzić coś trochę i o ludziach, bo byli bardzo ciekawi... ale tego nigdybyśmy nie skończyli. A ludzie są w Polsce bardzo ciekawi i zbliżają się dość chętnie... Są szczerzi, niżby się zdawało... Są szczerzy... quand meme!... Tylko dlaczego to się zawsze musi kończyć niesmakiem?...

— To jest niby co? — wtrąciłem.

— Wyobraź sobie na przykład taką prawdziwie pańską willę... Wielki hall, po pańsku urządzony, wysoki, jasny, trochę surowy w linjach, ale to jest nawet „w stylu“ tego kabotyństwa „arystokratycznego“, na ścianach karabele, szpady, miecze —

— Rodowe?

— Moznaby niby tak myśleć... Takby się zdawało... I ostatecznie, jeśli się takie rzeczy wystawia na pokaz, to powinno mieć jakiś sens... Tymczasem jakże to mogły być bronie „rodowe“, skoro ojciec właściciela po

powstaniu uciekł gdzieś za granicę, do Marokka, czy gdzie, właściciel zagranicą się urodził i wychował, tam uciulał jakiś mająteczek i tu przyjechał udawać magnata... Lecz mniejsza z tem!... Chłop jest napewno rasowy... Ma nietylko rasowy wygląd, ale i fijoła... Kocha się mimo sześćdziesięciu przeszło lat, z żoną wojuje, dwie córki mają ładne, jedną zacieklą amazonkę, taką bladą Dianę z krwawą krechą cienkich ust i z szaremi oczami, smukluteńką, wciąż gwizdzącą po pokojach szpicrutą...

— Sadystka! — wtrąciłem...

— Może! — przyznał Grubas. — Mikrocefal' raczej, bo głowę miała bardzo małą, ostrzyżona po męsku, te szare oczy wąskie w swetrowatym kostjumie beżowym, ruchy aroganckie, rozkazujące... Trzymała z ojcem... A druga znów była przytulna, okrągłutka, o miękkich, wdzięcznych ruchach, pieśczośliwa, bardzo kobieca... Nieraz w nocy do późna rozmawiałem ze starym, który mi się zwierzał ze swych zmartwień, z jego żoną, która cuda opowiadała mi o jego szalonych pomysłach... Powiem wam—niktby nieraz nie przypuścił, ile biednego szaleństwa ludzkiego może się kryć w takiej pięknej, poważnej z wyglądu willi pańskiej!...

A kiedyindziej znów patrzyłem, jak żyją ludzie biedni, urzędnicy, inteligencja... Pamiętam takie mieszkanie ciemne, od podwórza, trzy pokoiki, zupełnie ciemny przedpokój, małżeństwo, kuchnia, troje dzieci, służąca i pies. Mąż, urzędnik, robiący przytem jakieś interesy

i grający w karty. Gra nałogowo, że jest karciarzem nałogowym widać z twarzy, bladej, o przenikliwym spojrzeniu brunatno-zielonawych oczu, ptasiej, z drapieżnym nosem... Cienkie, mokrawe, czerwone wargi, przeblyskujące z pod polskiego wąsa czarno-brunatnego, mięśnie twarzy trochę obwisłe, zawsze rozdziałek na głowie sięgający aż do karku, ubranie zaprasowane, że wciąż niby prosto z igły, prócz banalnego grymasu w nieprzyjemnej twarzy tylko czasem drgnienie lewej powieki i prawie niedostrzegalne przygryzanie wąsa, z mankietów wystające cienkie, włochate przeguby rąk chudych, białych, zimnych, o długich, kościstych palcach. Ona — z twarzą pełną i ciemną, jak mosiężny imbryk, na głowie ciemno-brunatne kudły, kędzierzawe i zbite jak u barana, zęby białe, oczy płaczliwe, czarne, ręce zniszczone — a kiedyś ładna była, zdolna! — cały dzień siedzi w kuchni, to jest, nie siedzi, lecz pracuje gorzej służącej, bo służąca musi mieć swój czas odpoczynku, lecz pani domu nigdy. Jej obowiązkiem jest być zawsze na usługi. Do ludzi nie ma w czem wyjść, resztki młodości przetapiają się jej na smalec kuchenny w malutkiej, ciemnej kuchence i malutkich, ciemnych, ciasnych trzech pokojkach, w których wciąż krzyczą, przezywają się i płaczą dzieci, jak na złość nieznośne, a często dla odmiany chorujące, gdy w kącie zupełnie ciemnego przedpokoju wyje wilk (pan domu trzyma go na sprzedaż) — wyje z głodu, bo nie zawsze jest parę groszy na kości dla niego i jak wściekły, rzuca się na przychodzących.

Ach, widywałem ja i gorsze rzeczy wówczas i — śmiałem się, bo wtedy właśnie zrozumiałem, że jednak kto chce żyć, ten wszystko potrafi wytrzymać i będzie żył. A ja wówczas żyć już chciałem.

— Tak — odetchnął Chińczyk.

— Mógłbym opowiadać bez końca — mówił Grubas — bo widziałem wtenczas bardzo dużo i wzrok miałem jakoś dziwnie nastawiony, inaczej niż przedtem. Bez najmniejszego trudu odczytywałem sens, ukryty w linjach i płaszczyznach barwnych. Każdy człowiek, każda rzecz nawet była dla mnie słowem żywym i wymownym, a każda iskra tego słowa była znów słowem treściwym. Świat był dla mnie jednym wielkim, nigdy nie kończącym się przedstawieniem, w którym wszyscy grali tylko dla mnie. Krzywdzono mnie, okradano — oczywiście, ale ja się o to zupełnie nie obrażałem, przeciwnie, śmiałem się, bo w każdym takim wypadku pokazywał mi się człowiek prawdziwy, ach, jak śmieszny w swej pozie! — Boże, ileż to póź ludzie sobie wymyślili nadzwyczajnych! — a zawsze ten sam, taki sam i tak samo dziecinny. Czasami zabolalo mnie coś, było to jednak niczem w porównaniu z tem, co przecierpiałem, a zdarzało się, spotykałem ludzi bardzo złych, o, bardzo —

Tu Grubas przerwał.

— Złymi byli nie tylko spotykani przeze mnie ludzie złi — dodał po namyśle. — Złymi, bardzo złymi, potwornie złymi, bywali też i ludzie przeważnie dobrzy.

— Niby jakto? — zapytałem znów, czując, że Grubas brnie w czemś, co może być ciekawe.

— To dziwne. Spotykałem wówczas ludzi o twarzach, z których piekielne zło buchalo, jak gazem trującym, niewidzialnym, wszystko niszczącym płomieniem. Niska a nieublagana ich złość, chroniona pozorami i pieniędzem, nie ukrywała się bynajmniej, przeciwnie, patrzyła ludziom prosto w oczy, pewna siebie i zwycięska. Była ohydna. Zauważyłem wtedy dużo takich twarzy, przerażająco złych. I zdaje mi się —

— Co? — zapytałem, widząc, że Grubas się zawahał.

— My złość ludzką, zdaje mi się, trochę sobie lekceważymy. Wkońcu — trudno, nie wszyscy umieją być dobrzy, choć chcą, prócz tego strasznie dużo jest na świecie jołopów, ale niezawsze złość można tłumaczyć jakimś niedorozwojem umysłowym, czy też osłabieniem władz umysłowych, objawiających się następnie przez osłabienie etyki. To ja rozumiem. Jednakże — ludzie robią złe rzeczy, ale nie robią źle. To się czuje. A są ludzie tak szatańsko ohydni — z pysków im to widać, nie ludzie lecz prawdziwe „gennémata echidnón“, „nasionie węzowe“, jak Pismo św. powiada, którzy, na usługach djabelskich będąc, pracują dla sprawy zła i ciemności i tak są przewrotni, że nawet dobro świadcząc, zło wyrządzają. O, wiercie mi, są ludzie, którzy nie oddechem, ale samem już spojrzeniem bazyliżkowem trucizną gorzką potrafią wsączyć choćby nawet w powietrze! Czy to wogóle są ludzie? Nie wiem.

Takich ludzi w owym nieszczęsnym czasie tego swego pijaństwa dużo poznałem, a jeszcze więcej dzięki zastrzonemu wzrokowi wewnętrznemu, że go tak nazwę. widziałem, i powiadam wam, gdy któryś z niewinnych zrobił mi jakieś paskudztewko, śmiałem się, choć mi nieraz to niemałą krzywdę wyrządziło, ale gdy mi wszedł w drogę tak prawdziwy, zawodowy Paskudeusz, żeby nie wiedzieć jak był nawet grzeczny, patrzeć na niego spokojnie nie mogłem. I czasami miałem wrażenie, że to nie są ludzie w tem zwykłym, codziennem ludzkim znaczeniu, ale niezliczone, między ludźmi rozsiane, zamaskowane ucieleśnienia zła w człowieczej formie. A trudno takiego gada nakryć — niezmiernie! — Umie się bydlę maskować, twarzyczkę ma niewinną, pocziwą, dusza-człowiek, ale nastąpi przypadkiem na głowę gadowi, który w nim siedzi, albo bądź, jak ja, po pijanemu, czteroletniem dzieckiem, które on uważa już za bezsilne i bezbronne, o, jakże się nadmie odrazu, jaki staje się rozkazujący, panujący, brutalny... Uf! Powiadam wam, że Szatan —

— Daj-no spokój, Grubas, bo gadasz od rzeczy! — próbowałem go zmytygować. — Co za szatan znowu? Za kogo nas bierzesz?

Grubas umilkł, spojrział na mnie i z twarzy mu poznałem, że chce mi gwałtownie odpowiedzieć. Był wzburzony.

— Co ci się stało? — zdziwiłem się.

Uspokoił się.

— Nic! Nic! Potem! Wrócimy jeszcze do tego. Więc — jesteśmy znowu w Poznaniu.

— Tak! — rzekł z ulgą Chińczyk.

— Ale chciałeś mówić też o dobrych, którzy są strasznie źli! — przypomniał mu Sanio.

— A tak, masz słuszość! — podchwycił Grubas. — Otóż z tymi to znów rzecz miałaby się, mojem zdaniem, tak:

— Są to t. zw. „pastuszkowie“.

— To jest — kto? — zapytałem.

Grubas uśmiechnął się.

— Ludzie naiwni. Ulubieńcy Starego Testamentu. Ich to nawiedzali różni posłańcy Boży, zwiastując im wszelkie mądrości i objawiając rzeczy tajemne. Znali się oni dobrze na gwiazdach, ale zajęci swą trzódką i sobą, życie znali tylko w najprostszej postaci, nie tak jak rybacy, którzy, choć indywidualiści, mają wrodzone silne poczucie konieczności organizacji i podziału pracy. Żywił ich tego uczy!

— Żeglarze! — wtrąciłem. — Norwid od łodzi wyprowadza potęgę anglo-saską.

— Ale ci naiwni, prości, dobrzy pastuszkowie, są przeważnie ufni, łatwowierni a stąd i bezkrytyczni. Oni to stają się okropni, gdy ich ogarnia czarna chmura —

— Jaka „czarna chmura“?

— Skrzydła Złego! Zły duch! Wtedy w najlepszej wierze robią tyle złego, tak ślepo ulegają wszelkim złym podszeptom, tak wiernie je wykonują i tak są wytrwali,

że przewyższają zatwardziałością nawet sługi zła. Są to powolne narzędzia złego, ludzie złością opętani tak, że zmieniają się w jadowite węże... O, tu jest! Mordują oni jadem, którego w nich nigdy nie było, od którego sami zginęliby...

— Więc skąd on się w nich bierze?

— Osłabiło ich przeważnie jakieś nieszczęście, które zwarzyło w nich soki dobre i zamieniło je w gorzką, palącą truciznę...

Machnąłem ręką.

— Bajdy! — rzekłem.

— Tak ci się zdaje, bo —

— No nic! Niech ci będzie! A cóż w tym Poznaniu?

— Aha! W Poznaniu!

Grubas zmarszczył się, jakby zbierał myśli i zaczął:

— Nagle zniknął mi jakoś z oczu „hall“ broniami przodków przyozdobiony z tymi warjatami, którzy tam mieszkali, przestał wyc głodny wilk w ciemnym kącie przedpokoju, pełnym aromatu sosów, mydlin i dzieciennego kakao i ni stąd ni zowąd znalazłem się w jakimś pokoju —

— Nie rozumiem! U dziwki? *).

— Nie! W swoim własnym pokoju. W pokoju, jak się później okazało, przeze mnie wynajętym, powiedzmy, dla mnie za moje pieniądze wynajętym przez kogoś.

*) W słowie tem używam rozmyślnie pisowni Boy'a, jako jedynie trafnej. — P. aut.

kto się mną bez mojej wiedzy zaopiekował. Był to ładny pokój kawalerski z balkonem, obszerny, narożny, jak się potem okazało, wściekle zimny, trochę jak latarnia, bo okna miał w dwóch ścianach. Umeblowanie było kańciste, w tonie jasne jak głupota siedemnastoletniego chłopca. Dzwonek elektryczny oczywiście nie dzwonił, łazienka była nie do użycia, kaloryfery zepsute, służąca „właśnie przed chwilą wyszła, ale wnet przyjdzie“, co gdzie było zbitego, lub złamanego, wszystko oczywiście ja zbiłem, tylko że „nie pamiętam, choć wszyscy mogli zaświadczyć“ i świadczyli i tak dalej.

— To się rozumie! — wzruszył ramionami Sanio.

— Tak! — wzmocnił jego spostrzeżenie Chińczyk.

PREWITY.

— Kiedy tam pierwszy raz przyszedłem, była noc, prawdopodobnie nawet bardzo późna. Jak się do domu dostałem, nie mam pojęcia, pamiętam tylko, że nagle się zbudziłem i zobaczyłem siebie siedzącego w łóżku i perorującego z wielkim zapalem, gdy na kanapie pod drugą ścianą siedziała baba jak smok, z groźną twarzą rzymskiego centurjona którejś z legij germańskich, poważna, milcząca, ciężko-atletka z grubemi jak kłoce ramionami, skrzyżowanemi na wyniosłym bastjonie swych piersi. Kiedy się zacząłem przysłuchiwać swej perorze, zauważyłem, ze zdziwieniem, że to już dobrze zaawansowany dalszy ciąg szeroko założonego przemówienia. Bo że, co ja tam musiałem nagadać, a najmniejszego wyobrażenia o tem nie miałem! Oprzytomniawszy nagle, umilkłem.

— Czemuż pan przestał mówić!? — zapytała baba-smok słodkim na podziw głosikiem.

— Bo nagle oprzytomniałem, proszę pani i teraz nie wiem ani co mówiłem, ani co mam dalej mówić.

Zdziwiła się nieco, na moją prośbę podała mi tro-

chę wódki z wodą na noc — wówczas bez tego nie spałem — otuliła mnie dobrze pierzyną i wyszła.

— To prawda? — zapytałem.

— Co? To, że wyszła? Naturalnie, że prawda! Ja się zbudziłem, wytrzeźwiałem naraz —

— Nie, no nie to, tylko że ty gadałeś do niej dłuższy czas, a byłeś tak pijany, że nie wiedziałeś o tem, a ona się na tem nie poznała!

— To — naturalnie! I nie było to pierwszy raz. I owszem, to mi się nawet bardzo często zdarzało.

— I żeby się ten drugi nie mógł połapać — niemożliwe!

— A ja ci mówię, że możliwe! Podświadome musi być we mnie bardzo silne, kto wie, czy nie silniejsze od świadomego, w każdym razie o wiele inteligentniejsze i bystrzejsze —

— To przyznaję chętnie! — zgodził się Sanio.

— i kiedy traciłem przytomność, wyzwalalo się bez trudu. Ale — gdybyż to było tylko to podświadome! Gdybyż to naprawdę było rozdwojenie, Boże, jakież to musiałbym być zdolny i chytry, bo to drugie „ja“ musiałoby mi się przecie od czasu do czasu bodaj jakąś drobnostką opłacić za milczenie! Za to, że go nie wydam—

— Przed kim?

— Przed samym sobą!

— Nie! — przerwałem Grubemu. — Galimatjas zrobiłeś niemożliwy! Z tego, co mówisz, możnaby wnioskować, że rozróżniasz „świadome“, „podświadome“ i je-

szerze oprócz tego jakiegoś „siebie samego“. W tem ja już zupełnie się nie orjentuję.

— Czekajcież! Jest obsolutnie wykluczone, abym ja był tak rozdwojony, jakby to mogło się wydawać, sądząc po mem postępowaniu w stanie nieświadomości. W stanie tym robiłem niejednokrotnie, i to jak gdyby z premedytacją, powiedziałby ktoś—głęboko obmyślane rzeczy, których w stanie świadomości nie tylko nigdy bym nie zrobił, bo to jeszcze głupstwo, takich rzeczy w każdym człowieku jest dużo, ale które duchowo były mi najzupełniej obce, w związku z mą psychiką nie do pojęcia, „inconceivables“, rozumiecie? Jak gdyby kto inny za mnie to wszystko robił, nie ja! Możecie sobie to tłumaczyć, jak wam się podoba i może będziecie mieć słuszość, mówiąc, że to niemożliwe, ja jednak mówię, tak, jak jest, jak było, jak sam to rozumiem i jakbym to na Sądzie Ostatecznym szczerze przedstawił. Gdybyście mi wówczas coś podobnego wykazali, gdybyście mnie złapali na gorącym uczynku, gdybyście mi w kinie czy na fotografji to zobrazowali i pokazali, nie tylko z głębi duszy szczerze powiem, że ja tego nie zrobiłem, ale co więcej, przysięgnę, że to nieprawda i że to nie ja. I ktoś o tem wie, korzysta z tego, nadużywa takiego człowieka, i stąd nieraz straszne, niespodziewane zbrodnie, które tłumaczy się nagle wyzwoleniem ukrytej, przez nikogo nie podejrzewanej choroby umysłowej.

— A czem ty to tłumaczysz? — spytał Sanio.

— Ja mogę powiedzieć tylko popularnie, unikając ter-

minologii naukowej, bo ta mi się tu na nic nie przyda. Ale wy będziecie się śmiać...

— Gadaaj, jak chcesz!

— Podobnie jak ten tu literat i jak ty, otarłem się swego czasu o legionistów czesko-słowackich na Syberji — zaczął Grubas.

— Masz! — zniecierpliwił się Sanio. — Zdaleka jedziesz!

— Czekaj, to nie tak znów daleko, jak ci się zdaje, świat jest dziś bardzo mały! — rzekł Grubas tonem trochę zniecierpliwionym — Była to armja ochotnicza, więc składająca się z inteligencji. Znaliście ją —bardzo religijna nie była. Wola Boska nie należy w wyobrażeniu tych ludzi do uzasadnień poważnych, wiedza ma znacznie większe znaczenie. Jednakże jak jest, tak jest i prawdopodobnie, mojem zdaniem, zawsze będzie, nie wszyscy nie wszystko zdołają naukowo uzasadnić i zawsze znajdzie się miejsce na regulatora inteligencji, tak zwanego „delta“ greckiego Maxwella, oznaczającego „dajmonion“, które właściwie jest intuicją inteligencji.

— Ale cóż z tem wspólnego mają legjonarze czescy? — zniecierpliwił się Sanio.

— To, widzisz, nie byli ludzie z wykształceniem w większości humanistycznym, jak u nas — tłumaczył dalej Grubas. — Byli wśród nich doktorowie różnych fakultetów, ale, jak u nas gimnazjum klasyczne, tak typową i ulubioną w Czechach szkołą jest „realka“, prócz

tego szkoły zawodowe, technika. Zatem o „dajmonionie“ niewielu słyszało, a jeśli, to nie brali go na serjo. Za to powstał u nich powszechnie tak zwany w całym wojsku „prewit“.

— Cóż to znowu? Brzmi niezbyt wonnie!

— Tak! — wkręcił swoje zdanie „Chińczyk“.

— Macie słuszość, przypuszczając, iż słowo to pochodzi od naszego „prewetu“ — odezwałem się. — Ale w języku czeskim słowo to nie oznacza bynajmniej wygódki, lecz złego, nikczemnego człowieka, którego „wnętrze duchowe“ cuchnące jest i zapaskudzone, jak obózowa latryna.

— Tak właśnie! — podchwycił Grubas. — Ale w legionach czeskosłowackich słowo „prewit“ nie oznaczało już człowieka, a tylko złego gada w człowieku. Naprzykład, żołnierz jakiś zrobił coś złego. Opowiada o tem kolegom, ci besztają go, tłumaczą mu, że zrobił źle, a on mu na to odpowiada: — Ale wždyć ja tego zrobić nie chciałem, człowiecze, zrozumiej to, to ten sakramencki „prewit“ we mnie to zrobił! — Z tym „prewitem“ w sobie walczone, tropiono go, chciano go poznać i raz słyszałem, jak pewien poważny, stary legionarz mówił sam do siebie: — To nie jeden „prewit“. W człowieku jest kilka „prewitów“!

— Więc ty myślisz, że to „prewity“ za ciebie gadały, kiedy byłeś urażony! — Bycze! Opętanie przez szatana! Wspaniale!

— Nie gadaj tyle, bo nie wiesz, co mówisz! — rzekł spokojnie Grubas. — Zaczekaj chwilę. Słuchajcie:

— Jest belka, polakierowana do połowy na biało, w drugiej połowie na czarno. Powiedzmy: Dwu metrowa belka. Leży spokojnie na ziemi —

— Powiedzmy, nie tyle spokojnie, co nieruchomo! — wtrącił znów Sanio.

— Więc nieruchomo. Jeden metr tej belki jest biały, drugi czarny. Wrzuciliśmy tę belkę w morze. Morze nią miota. Wiemy, że jeśli w wodzie zanurzy się jej część pomalowana na biało, wynurzy się czarna. Taką belką ja jestem i wiem, że myślę i postępuję „na biało“, ale mogę myśleć i ewentualnie w stanie jakiegoś podniecenia postąpić „na czarno“. To w porządku! Lecz jeśli nagle pojawi się połowa tej samej belki zielona?

— To niemożliwe!

— Tak.

— Otóż to jest „prewit“! I gadaj sobie zdrów, a ja ci mówię, że „prewity“ są!

— Więc znowu to samo! Opętanie!

— Zostaw to, Gruby! Nie dysputuj! — przerwałem. — Opowiadaj dalej, klócić się będziemy potem.

— Na drugi dzień zbudziłem się — pełen trwogi. Nie wiem, gdzie jestem, nic nie rozumiem — domyślam się tylko, że „prewity“ tu były, bo nic a nic nie pamiętam, i drzę ze strachu, wyobrażenia nie mając, jaki one w czasie mej nieprzytomności stworzyły fakt dokonany.

Wleźć w cudzą skórę, stworzyć pośpiesznie jakiś fakt dokonany, o ile możliwości nieodwołalny, a potem dra-
pnąć i zostawić do wypicia nawarzone piwo Bogu ducha
winnemu właścicielowi skóry!

— Tak! — oświadczył Chińczyk.

— Ale z tego naprawdę mogą wyniknąć bardzo przy-
kre historie! — rzekłem.

— No, wyobrażam sobie! — mówił żywo Grubas. —
Zwłaszcza jeśli istotnie ubzdurzysz sobie jakąś głupko-
wą ideę. I tu już trzeba być ogromnie ostrożnym i za-
sadniczo wyrobić sobie krytycyzm tak silny, aby ża-
danych idjotycznych pomysłów do głowy nie dopuszczać.
Pomyślcie na przykład. Ja jestem dość silny fizycznie.
Pomyślcie dalej, że wyobrażę sobie, że gdybym się pierś
w pierś zderzył z autem, to auto się rozbije. Dalej: Pe-
wnego wieczoru siedzę w knajpie i nagle przychodzi mi
na myśl, że ten pomysł idjotyczny wykonam. Podsunął
mi go „prewit“, korzystając z mego zamroczenia. Oczy-
wiście nie mówię o tem nikomu nic, bo mi „prewit“ na
to nie pozwala.

On to robi w ten sposób, że schlebając reszcie mego
zdrowego rozsądku, wyśmiewa niby sam pomysł, możli-
wość jego wykonania i tak dalej, mówiąc rzekomo do-
brodusznie: — Dajże spokój, nie gadaj nic, przecie sam
w to nie wierzysz, niema sensu, nie zrobisz tego! —
W ten sposób, uspiwszy twą czujność i uniknąwszy wy-
niesienia na światło dzienne pomysłu, którego głupota
w tem świetle rozbłyśłaby w całej okazałości, „prewit“

mimo wszystko w głębi duszy kusi cię wciąż, aż wreszcie
„powzinasz“ napół postanowienie w formie ukrytego
wewnętrznego przekonania, pewności, że jednak gdy-
byś się z autem zderzył, auto się o tę pierś twoją głup-
kowato-bohaterską rozbije. W tej chwili zapadło już
postanowienie bez twojego udziału i bez twojej woli —
ty sam pijesz sobie dalej, śmiesz się, dowcipkujesz, do
niczego się nie mieszasz, „o niczem nie wiesz“. Wszystko
jest w porządku do czasu, póki nie stracisz przytomno-
ści. Wtenczas „prewit“ hyc! w ciebie i czeka tylko spo-
sobności. I co się dzieje? Idziesz sobie z przyjaciółmi.
jesteś kompletnie pijany — tego jednak nie wie nikt, bo
„prewit“ trzyma cię już za łeb, nie pozwala ci się zata-
czać, mówi za ciebie tak, jak gdybyś był tylko trochę
„pod gazem“, a nagle — auto nadjeżdża, dwoje ślepi,
dwa snopy światła i wśród nich — ty! Już! Załatwione!

— To alkoholiczna demencja! — rzekłem. — Łańcuch
wyobrażeń czy pojęć urywa się, skutkiem czego powsta-
je luka —

— Bardzo słusznie! — przyznał Grubas.

— W tę lukę wchodzi pojęcia innej kategorii, powsta-
łe skutkiem zatrucia alkoholycznego.

— Nadzwyczaj proste! — oświadczył Grubas.

— Podobnie ma się też rzecz i z demencją starczą! —
mówiłem dalej. — Powstają również podobne luki, któ-
re stary człowiek zapęłnia rozmaitemi nieprzytomnemi,
a czasem półprzytomnemi bajdurzeniami.

— Tak! — załatwił sprawę Chińczyk.

— No i już! — zakończył Grubas. — Ale powiem ci tu, że takich „demencyj“ rozmaitych jest tak olbrzymie mnóstwo rozmaite, że podciąganie ich pod wspólną kategorię jest ogromnem ułatwieniem.

— Chorób umysłowych jest też mnóstwo! — wtrąciłem.

— Wiem! Wiem! Zwłaszcza nieznanych! — uśmiechnął się Grubas. — Niech ci będzie. Nie sprzeciwiam się. Więc wspomniałem o „prewitach“.

PRZED BITWĄ.

Tym razem „prewity“ nie ubrały mnie w żaden kawał. Wszystko było w porządku — jak się później okazało — w zawieszeniu. Byłem pewny, że mnie „prewity“ w spokoju nie zostawią, ale chwilowo miałem spokój. Od nich — nie od ludzi, bo ci wciąż robili na mnie ofensywę najrozmaitszymi sposobami, wobec których przy swem pijaństwie byłem bezbronny. Jednakże to uważałem za mniejsze zło, że tak powiem — drugorzędne. Piłem wciąż, dzień i noc.

— Ale to zdrowiu musiało strasznie szkodzić! — zauważyłem.

— Kolosalnie! — przyznał Grubas.

— I nie mogłeś się ratować? Wezwać lekarza?

— Próbowalem! — odpowiedział Grubas. — Próbowalem. Wzywałem lekarzy — na nic! To przecie są już przeważnie rzemieślnicy, jak stolarze, monterzy, tapiczerzy. Zapisze luminal, ewentualnie digitalis jeśli z sercem jest źle, zrobi zastrzyk — bardzo często zastrzyknie ci morfinę, aby się tylko kłopotu pozbyć, pieniądze weźmie i na tem koniec. Zresztą — prawdę mówiąc, mo-

głem się obejść i bez lekarza, o ile szłoby o sam alkohol. Ale to nie była odpowiednia chwila. Naprzód musiało się wypalić to wszystko dawne i martwe już, co mnie do tego stanu doprowadziło, a co, nie usunięte, gniło we mnie i zatruwało mi duszę. Tu nie pomógłby żaden lekarz, to musiało zrobić życie.

Cokolwiekby było, trzeźwy czy pijany, miałem wrażenie, że Poznań, jedyne w Polsce, prócz Lwowa, miasto, w którym nerwowo czuję się dobrze, zmienił się jakby nie do poznania i jest dla mnie jakiś zupełnie nowy, powiedzmy — życzliwie neutralny. Wszystko, co dawniej tak dobrze znałem i co mi było życzliwe, stało się poprawne, dobrze wychowane lecz zimne, zachowywało się wyczekująco, z rezerwą, czasem nawet bardzo uprzejmie, ale zasadniczo obojętnie. Nie ludzie robili na mnie to wrażenie, bo stykałem się z nimi bardzo mało, lecz samo miasto — domy, lokale, ulice, place, rysunek ulic, ich miny — wszystko! Nic mnie — nerwowo, zrozumieście! — z miasta nie wyganiało, ale nic mnie w niem nie trzymało. Wywnioskowałem z tego, że tu właśnie czeka mnie walna rozprawa.

— Niby jaka rozprawa? Z kim? — zapytałem.

— Tego wówczas jeszcze nie wiedziałem, ale byłem pewny, że mnie czeka jeszcze ostatni paroksyzm, który mi da śmierć, może tak zwane pomieszenie zmysłów, a tego się bałem, bo to byłoby straszne, lub — wybawienie, po którym oczywiście jakiś czas będę bardzo wyčerpany, ale wreszcie ostatecznie już przyjdę do siebie

i odzyskam wszystkie siły w całym znaczeniu słowa. Jak się to odbędzie — nie wiedziałem.

Nie przygotowywałem się bynajmniej do tej walnej rozprawy, mimo że niebezpieczeństwo było, jak to wkrótce zobaczycie, wielkie.

— A cóż mogłeś zrobić, nic nie wiedząc? — zaciękałem się.

— No, może znalazłyby się jakieś sposoby! — odrzekł Grubas. — Człowiek nie jest tak strasznie znowu opuszczony, jak się zdaje. Lecz mniejsza z tem! Może być, że postąpiłem lekkomyślnie, zarozumiale, jednakże ja chciałem tę bitwę wygrać zupełnie sam, aby swych nowo odzyskanych sił i wolności nikomu nie zawdzięczać, aby w życiu, jakie mnie w razie zwycięstwa czekało, od nikogo nie zależeć. Dlatego nie starałem się poważnie o żadną pomoc z zewnątrz, tembardziej, że to było bezcelowe, ponieważ wątpię, czy znalazłbym kogo, ktoby mnie zrozumiał, zwłaszcza że u mnie samego były to tylko niejasne przeczucia, a nie skrytalizowane myśli.

— Więc na co liczyłeś, Gruby? — zapytałem. — Bo przecie, o ile można wywnioskować z tego, co mówisz, o ile mówisz szczerze —

— Zupełnie szczerze i poważnie!

— no, to musiałeś mieć w głębi duszy niemałego pietra!

— Miałem!

— Na siebie liczyć nie mogłeś, bo byłeś do niczego, więc na co liczyłeś?

— Powiem ci. Przestrząsnąwszy dobrze swe portki duchowe spostrzegłem, że choć są plugawe i wyświechtane, w kieszeniach nie mam nic, cobym zabrał drugiemu. Co więcej: W jednej kieszeni znalazłem, niby zapomniany, a dla kogoś przechowywany kawałek czekolady, w tytoniu i prochu upapraną, zwykłą dzieciinną dobroć i zdolność do miłości — mimo wszystko, co przez to wycierpiałem. To był mój talizman, to i czasem światło — światło niewyraźne, nieokreślone jak przecucie, ale które widywałem stale gdzieś daleko przed sobą, na samym końcu długiej, ciemnej perspektywy, niepewne, lecz świtające niewątpliwie. Wszystko to wytwarzało we mnie nastrój optymistyczny, który się streszczał w zdaniu: Pan Bóg łaskaw na Mazury!

Narazie miałem spokój. W mieszkaniu nie zauważyłem nic niesamowitego, wśród lokatorów też. Obsługiwała mnie Marynia, ładna, dwudziestoletnia dziewczyna, z kocią, lalkowatą mordeczką białą-czerwoną, z małym, ostrym noskiem, szerokimi, czerwonymi usteczkami i czerwonymi rumieńcykami. Okrągłe, ciemno-niebieskie, bardzo świecące oczęta dla kokieterji wytrzeszczała, układając równocześnie buzię w ciup, mówiła głosem pieśzczośliwie i przenikliwie miauczącym, minę, a przede wszystkim czoło miała bezgranicznie głupie. Kiedy się jej czasem przyglądałem, zdawało mi się, że widzę morze, szare morze zbałwanionej głupoty, morze bezkreśne, bezbrzeżne, bezgraniczne i bezdenne i nic wię-

cej, tylko ta głupota tak na dzień powszedni jak i na niedzielę i niebo nad tem szare. Rozpacz! Za to szyjka jej i ruchy były wzruszająco niewinne, dziewczynsko biedne, wzbudzające litość. Dziewczyna, stale ukryta w kuchni, zajmowała się mną mało i rzadko kiedy można było się jej dowołać; przeważnie kryła się w pokoju jednego z lokatorów, jakiegoś młodego urzędnika, w którym się kochała i który podobno obiecał się z nią ożenić, ale po jakimś czasie wyprowadził się i znikł.

Dziewczyny tej było mi żal. Gdy ją po coś posłałem na dół, wracała blada, z trudnością łapiąc oddech półotwartymi ustami. Widocznie z serduszkim coś było nie w porządku. Cały tydzień siedziała w domu, a i w niedzielę rzadko kiedy wychodziła na miasto — ot, przejść się trochę. Czasami, przeważnie w niedzielę, zachodziła do mnie porozmawiać trochę i przypuszczam, że nawet nie tyle, aby porozmawiać, ile, aby znaleźć się blisko jakiejś żywej duszy, gdy w całym obszernym mieszkaniu nie było nikogo. Zbyt głupia, żeby mieć jakąś przyjemność w czytaniu, po kilku początkowych, przykrych doświadczeniach. unikająca łatwych znajomości, stęskniona do swego ukochanego, siedziała w domu, nudząc się beznadziejnie, podczas gdy pani jej, wypiwszy jeden „melanz“ i zjadłszy jedno ciastko—rozumie się jak największe — ze znajomymi damami od szóstej do pierwszej w nocy tkwiła w dusznej kawiarni, słuchała muzyki, obserwowowała gości i plotkowała, rumieniąc się z ra-

dości, gdy czasem uklonił się jej ktoś znajomy. Także smętna przyjemność.

Pozatem ciężko-atletka prawie że nie wychodziła na miasto. W miękich papuciach i fioletowym szlafroku w białe kwiaty, cicha i zamyślona, kręciła się po domu i szyjąc lub przerabiając na zamówienia sukienki — dorabiała sobie szyciem — całe tygodnie przesiadywała samotnie w małym pokoiku za łazienką, na samym końcu długiego, ciasnego przedpokoju, upinając na manekinie sukienki. Czasami odwiedzały ją znajome panie, a wtenczas pojawiały się na stole ciastka, wino owocowe, papierosy, kawa i rozpoczynał się zwykły, typowy, niemiecki „Kaffee-Klatsch“. Ale to zdarzało się rzadko.

Wogóle ta tęga, olbrzymia kobieta odznaczała się uczuciowością, jakiejby u niej nikt nie podejrzewał. Mówiła flecikowym głosem o ptaszkach, kwiatkach, piórkach jakichś, sukienkach — jak młoda panna. Baba jak grzmot, a sentymentalna jak podłotek. Kiedy rano wchodziła do mnie z kawą, dygała wdzięcznie i namawiała mnie czule, żebym jadł, rozmawiała ze mną stojąc i tak stała czasem i godzinę w pośrodku pokoju lub niedaleko drzwi, opowiadając mi różne historie ze swego życia. A nie było to bynajmniej takie filisterskie życie, jakby się zdawało. Pani Mufa — też zdrobnienie Marji! — była kiedyś na niemiecki sposób bardzo ładna — wymownie o tem świadczyły jej powiększone fotografie z czasów młodości — i miała życie dość burzliwe,

jak wynikało z tego, co mi opowiadała. Był tam i dobry mąż i ktoś drugi i ktoś trzeci, ktoś, kogo raz zamałowała w papę w tramwaju tak, że mało się nie przewrócił, dużo podróży po Europie, jakieś tragiczne rozstanie w Sopotach, kiedyś jakiś majątek, ruina, potem ból nowego zerwania, konwulsje gniewu, urażonej ambicji, rozpacz zawiedzionej miłości.

— Pięć lat tak się męczyłam! — spowiadała mi się pani Mufa. — Pięć lat. Przez pięć lat nic mnie nie obchodziło, do niczego nie byłam zdolna. Aż wreszcie zabrałam się do roboty. Jedna z niezamożnych przyjaciółek, wiedząc, że jestem biegłą w krawiecczyźnie, poprosiła mnie, abym jej przerobiła sukienkę. Zaryzykowałam — udało się. Wobec tego przyniosła mi drugą, trzecią, potem przyprowadziła jedną swą znajomą damę, drugą, zamknęłam się w swym małym pokoiku na końcu korytarza, na poddaszu, skąd nie widać już nic, tylko pole, i tak przesiedziałam dwa lata, szyjąc sukienki... Ból ustał i dziś jestem już zupełnie zdrowa, pracuję, chodzę czasem do kawiarni, bywam wśród ludzi... Nie tęsknię, nie cierpię, niczego już nie pragnę... Kosztowało mnie to dużo, ale wreszcie uzyskałam spokój...

Szare, niedzielne popołudnie, zapach kawy, babka na stole, na manekinie przeniecona sukienka a pan rewizor, kontroler czy sekretarz gra w swym pokoju na wiołonczeli „Pochwałę łez“ Szuberta. — Bardzo ładnie.

Przychodził też do mnie pewien młody chłopiec, lokator pani Mufy, ni to student ni praktykant kupiecki,

typowo wielkemiejskie „nic i wszystko“, żyjące po części z naciągania matki, mieszkającej gdzieś nad granicą niemiecką, po części ze stręczenia drobnych interesów i pośrednictwa, wogóle — z czego się da. Chłopak był ładny, zgrabny, dbały o swój wygląd zewnętrzny, na pierwszy rzut oka sympatyczny, chętny, energiczny, ale piekielnie sprytny i przebiegły, tak policyjnie przebiegły, że aż było to niemiłe, zwłaszcza, że przy całym sprycie był mało inteligentny, a wychowanie miał niemieckie, dzikie. Już w dziewiętnastym roku życia musiano go umieścić w jakimś schronisku dla alkoholków w Niemczech. Tam, wśród szumowin społeczeństwa, zaokrąglił swe wykształcenie. Zawsze czarno ubrany, z dość długimi, czarnymi włosami, zczesanymi na tył głowy i z czarnymi, bystremi i mocnymi oczami w świeżej, różowej, chłopięcej twarzy, młody ten człowiek przerażał mnie czasem swą dojrzałością życiową i swym cynizmem. Na jego usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że był sierotą, wychowywał się bez ojca, wśród obcych, którzy go z pewnością nie oszczędzali, a bohaterami jego snów i marzeń młodzieńczych byli gentlemen-włamywacze i hochsztaplerzy z dramatów kinowych i marnych romansów kryminalnych. Ten chłopak w krótkim czasie tak się wgryzł w zewnętrzną stronę mych interesów — bo istoty ich zrozumieć nie mógł, to inna rzecz! — że zdawało mu się, iż mnie już zupełnie opanował i robi ze mną, co zechce. To zna bardzo dobrze każdy, kto kiedy oddawał się jakiemuś nałogowi,

czy to był alkohol, czy kokaina, czy morfina. Ja to przeszedłem na własnej skórze, ale swego czasu miałem sposobność widzieć, jak „urządzano“ jednego morfinistę. Pouczające obserwacje!

Dla wyjaśnienia muszę wam powiedzieć, iż była jeszcze jedna grupa, która się mną „opiekowała“, a na której czele stał były marynarz niemiecki, „Spartakuser“, który znów osaczał mnie za pomocą swych kobiet.

— Tak! — wtrącił zupełnie niespodziewanie Chińczyk.

— Mało tego! — uśmiechnął się Grubas. — Inni znów atakowali mnie listownie, domagając się legatów w testamencie, do którego napisania usilnie mnie namawiali. Zapisów domagali się wszyscy i to bezwzględnie, już —

— Ale ty się przecież nie dałeś naciągnąć! — przerwałem mu.

Grubas uśmiechnął się.

— aż nie mogłem się już powstrzymać i wpadłem. I to na grubą sumę — którą „sprzedałem“ za pół litra wódki i czterdzieści papierosów — a rzecz warta była co najmniej dziesięć tysięcy.

— Dlaczego-żeś to zrobił?

— Bo się chciałem przekonać, czy taka podłość jest naprawdę możliwa — i pokazało się, że tak. Ale potem zapis cofnąłem. Powiadam wam — to są bajeczne rzeczy. Nigdy nie byłbym przypuścił czegoś podobnego! Lecz mniejsza z tem. Ostatecznie naciągnąć się nie dałem. Oni wszyscy myśleli, że ja już dogorywam, że lada

dzień dostanę pomieszaną zmysłów i dlatego tak się śpieszyli, zaczęli sobie wzajemnie przeszkadzać, zwalczać się, wygryzać — a to mnie bawiło. „Spartakuser“ przykomenderował do mnie młodą damę, która przesiedywała przy mnie całe dni. Jak tylko pojawiła się w moim pokoju, natychmiast wpadał czarnowłosey, obiecujący młodzieniec, który zdołał się być, widać, porozumieć tymczasem z gospodynią i pilnował mnie i jej, tej Spartakuserki oczywiście. Chodził za mną po mieście, jak szpicel, kroku bez niego zrobić nie mogłem. Nie puszczał do mnie nikogo. W gruncie rzeczy było mi z tem z pewnych powodów wygodnie, ale gdy czasem, ot, na śmiech, dla żartu, zmieniłem swą marszrutę i próbowałem się przed nim schować, zawsze mnie znalazł. O, to był zdolny chłopak!

A ja sam byłem wówczas prawie zupełnie nieprzytomny —

— Delikatnie się wyrażasz! — zauważył Sanio.

— Nie, Saniu! — przerwał mu Grubas. — Picie pić, a to znów co innego. Spróbuj zrozumieć, Saniu, spróbuj być inteligentny, jesteś wielki redaktor, publicysta, „złote pióro“. Pić pić, nie przeczę, i to bardzo dużo, ale to rzecz drugorzędna. Czy pijany czy trzeźwy — byłem jak gdyby nieobecny duchem. Spałem, z przerwami oczywiście, budząc się często —

— Stały objaw alkoholizmu! — wtrąciłem.

— paliłem papierosy, chętnie rozmawiałem, gdy kto do mnie przyszedł, bawiłem się intrygami zwalczających

się stron — ach! Jaka tam była raz przekomiczna bitwa o maszynę do pisania, którą mi obie strony podsuwały, wreszcie jedna strona wsunęła mi tę maszynę, no nic, straciłem paręset złotych! —

— I nikt się tobą nie zaopiekował?

— Po co? Zresztą na brak opieki chyba skarżyć się nie mogłem! — uśmiechnął się Grubas dobrotliwie. — Mało ich było? Więc, jak powiadam — spałem, piłem, czasami wychodziłem na miasto jakąś drobniejszą sprawę załatwić, a zresztą czytałem — głównie powieści korsarskie, które w ostatnich czasach w Anglii i w Ameryce znów odżyły. Ale to wszystko nie było poważne. Czułem, że duchem jestem nieobecny, że duch mój wyszedł — dokąd, nie miałem najmniejszego wyobrażenia — został mnie na jakiś czas „na opiece służby“, a sam załatwiał jakieś ważniejsze sprawy.

— Jakież?

— Nie wiem. Może poszedł na wywiad... Cóż można wiedzieć, co robi duch, gdzie krąży, czego szuka... A tymczasem służba opuściła się, zaniedbała i — czarci w nią wjechali!

— Prewity? — zapytał Sanio.

— Tak! — mimowoli odpowiedział za Grubasa Chińczyk.

— Prewit wskakuje w człowieka zwykle w czasie nieobecności ducha — tłumaczył Grubas — albo też z jego nieobecności, ewentualnie osłabienia korzysta. Dlatego żaden prewit nie wlaź we mnie, gdy ducha we mnie

nie było — nie wiem; prawdopodobnie przewity były mnie już pewne, utrzymywały w stanie stałego zatrucia alkoholycznego i wypychały moje wnętrze słomą i pakulami z korsarskich powieści. Może to miał być materiał zapalny, czy wybuchowy. Za to wstąpiły w moje otoczenie, w panią Mufę, w Edwardka, w grupę Spartakusowców i w innych, czemu się nie można zresztą wcale dziwić, pomimo, że wszyscy ci ludzie byli w gruncie rzeczy przeważnie przeciętnie niezli, wyjąwszy może głównego Spartakusowca, który wszystkie bramy wytrychem otwierał.

— Jakto? Dosłownie? — zapytałem.

— Tak. Każdą bramę mógł otworzyć! Ponieważ ja swój klucz zgubiłem, ile razy wracałem w nocy do domu, a on mnie odprowadzał, zawsze mi bramę wytrychem otwierał. Ale ten był zbyt ostrożny, żeby się skompromitować. Wogóle, ja obroniłem się tylko tem, że się zupełnie nie broniłem, byłem jak martwa bryła, której oni nie umieli dźwignąć. Zauważyłem to wówczas, gdy pani Mufa w porozumieniu z Edwardkiem odsunęła odemnie „Spartakusowców“. Miała mnie w rękach, a nie wiedziała, jak się do mnie zabrać. Wynika z tego, że przewity ani jej ani Edwardka za swe narzędzie nie obrały, a tylko tak mimochodem ogarnęły ich duszyczki, które im się jako słabe z natury, a i życiem osłabione, obronić nie mogły. Ale bądź co bądź były prewitem oddane, pilnowały mnie i nie wypuszczały z pod swojej opieki.

Tak mijaly tygodnie.

Bieżące życie przestało mnie zajmować. Nie wiedziałem, co się dzieje na świecie, nie interesowałem się niczem. Sprawy swoje zaniedbywałem coraz gorzej.

Przerwałem mu:

— Apatja, zaniedbywanie obowiązków zawodowych, podobnie jak przerywany sen — wszystko to są objawy alkoholizmu.

— Niech będzie! — zgodził się Grubas. — Tłumaczyć sobie i wykladać całą sprawę możecie jak chcecie, ja tylko opowiadam, co było. I otóż pozwolę sobie zaznaczyć i podkreślić, że to moje zaniedbywanie spraw życia bieżącego, tak zresztą charakterystyczne dla alkoholizmu, nie wynikało bynajmniej z jakiejś apatji. Przeciwnie, byłem wówczas bardzo ożywiony. Jeśli zachowywałem się biernie — jeszcze raz podkreślam, że wcale nie apatycznie — to tylko dlatego, iż to moje ówczesne życie, ówczesny stan psychiczny uważałem za przejściowy, poprzedzający wprawdzie jakieś bardzo ważne dla mnie wydarzenia, ale sam przez się nie znaczący nic. Naogół było mi, rzecz jasna, ciężko, czasami nawet ogromnie ciężko. Zdarzało się, że gdy się zbudziłem w nocy, zaczynałem się nad sobą zastanawiać, wpatrzony w niesamowitą poświatę nocy miejskiej, przez trzy szerokie okna zalewającej mój pokój, lęk mnie zdejmował, robiło mi się straszno. Czułem się niesłuchanie opuszczony. Z niezmierną jasnością zdawałem sobie sprawę z tego, że ja sam jestem tylko ciałem, któremu na jakiś

czas niedługi pozostawiono zapasik ludzkich, życiowych sił, tyle, aby to ciało żyło, wegetowało, podczas gdy duch mój błdził w nieznanych mi stronach. To jest — nie „błdził“, lecz załatwiał tam swoje czyli moje interesy i nie w „nieznanych“, ale wiadomych. Tak się powinienem wyrazić. Poszedł — lecz czy wróci? Jak dziecko, w zamkniętym mieszkaniu oczekujące powrotu matki, co jakiś czas niecierpliwie i tęsknie wygląda przez okno, tak ja nieraz w nocy wstawałem i patrzyłem przez okna, w ciche ulice, szare, z koralikami płonących spokojnie latarni, w ciszy nocnej wyciągnięte jak długie i odpoczywające. Czekałem na cień, znany mi dobrze z ruchów i chodu, idący, niby nie śpiesząc się, lecz równo i wytrwale, cień, który dochodząc do mej ulicy, miał podnieść głowę, spojrzeć w moje okna i uśmiechnąć się do mnie. Bywało tak, bywało! Ale czekałem długo na daremnie.

Grubas umilkł i przez chwilę tarł dłonią czoło.

— To miejsce szczególnie mnie męczy i trudno mi przez nie przebrnąć — rzekł, zapalając papierosa. — Wygląda głupio, ale — trudna rada! Cóż poradzę...

— No rżnij już, rżnij! — zachęciłem go.

WIĘC KTÓŻ TO MÓGŁ BYĆ?

— Pewnego dnia nad wieczorem wyszedłem, co się już wówczas bardzo rzadko zdarzało, zwłaszcza wieczorami. Miałem wrócić za jaką godzinę, wróciłem późno w nocy. Gospodyni naturalnie nie spała. Czekala na mnie. Kiedy się już położyłem, przyszła i stojąc w odległości jednej trzeciej długości pokoju od drzwi, fioletowy słup, powiedziała mi, że wieczorem była jakaś pani, która się o mnie dopytywała.

— Co za pani? — spytałem zdziwiony, bo panie żadne, a już zwłaszcza wieczorem, do mnie nie przychodziły.

— Nie wiem! — odpowiedziała, przyglądając mi się podejrzliwie. — Nigdy tu jeszcze nie była. Powiedziała, że w tych dniach przyjdzie wieczorem.

— Nie powiedziała, jak się nazywa?

— Nie. Ja ją nawet zapytałem, ale ona nie odpowiedziała, powiedziała tylko, że przyjechała z Warszawy i stanęła w hotelu kolejowym. Nazwiska swego nie podała, zdawało mi się, że nie chce powiedzieć, jak się nazywa.

— A jak wyglądała?

— Drobna, o ile mogłem zauważyć, blondynka z niebieskimi oczami. Miała na sobie granatowy płaszcz z popielicami.

Drgnąłem.

To była „ona“! Niemożliwe, nawet nieprawdopodobne, nie do pomyślenia, a jednak wszystko się zgadzało. Może się co stało?

— Pani nie zmyśla? — zapytałem wprost.

Pani Mufa oburzyła się, ale to mnie nie wzruszyło. Baby bywają piekielnie przewrotne.

— Może pani kto kazał to mi powiedzieć? — badałem ją dalej. — Niech pani powie. Sprawa jest ważna, może z niej wyniknąć, że będę musiał natychmiast się od pani wyprowadzić! — straszylem.

— Przekona się pan sam! — broniła się. — Powiedziała przecież, że przyjdzie. I ja myślę też, że to „ta“ pani!

— Co za pani! Do mnie przecież żadna pani nie chodzi!

— Ta, o której pan raz mówił.

— Co mi pani głowę zawraca! To niemożliwe!

Na drugi dzień nad wieczorem znowu wyszedłem. Rozmyślnie.

— Dlaczego? — zapytał Sanio.

— Widzisz! — uśmiechnął się Grubas. — To było tak: Ja wiedziałem, że to była ona. Ale to nie mogła być ona, ponieważ jej w Poznaniu nie było. Wiedziałem, że

to niepodobieństwo! Więc chyba to było... miało znać... co innego. Wobec tego powiedziałem sobie: — Jeśli ja wyjdę a ona przyjdzie, to będę wiedział, co to ma znaczyć... Moje przypuszczenie potwierdzi się... Ale jeśli zostanę w domu, ona nie przyjdzie, bo nie może.

— Eee! Nic nie rozumiem! — zirytował się Sanio.

— Mniejsza z tem. Kiedy wróciłem, pokazało się, że ta pani była. Byłem tego pewny.

— Co jej pani powiedziała? — zapytałem znowu.

— Że pan jest cały dzień w domu. Ale ona powiedziała, że dostała pracę i ma czas tylko wieczorem i że w dzień przyjść nie może. Obiecała zająć znowu w tych dniach.

— Nie zostawiła do mnie jakiej kartki?

— Nie, powiedziała, że przyjdzie.

Ale nie przyszedł nikt. Posłany do hotelu kolejowego Edwardek opisanej osoby tam nie znalazł. Ja też szukałem — nie było jej, nie widział jej nikt...

Grubas urwał.

— Więc kto to był? — zapytałem.

— Nie wiem! — odpowiedział. — Więcej już się nie pokazała. Nie widziałem jej.

— Mógł być ktoś inny!

— Opis zgadzał się z jej wyglądem.

— Mało to blondynek w granatowych płaszczach z popielicami chodzi po świecie?

— Oczywiście. Tylko, że ja znałem tę jedną...

— Mogła być inna!

— Mogła. Nie przeczę! — rzekł Grubas, wzruszając ramionami. — Ale to była ona. Bądź jak bądź, nie zdziwicie się, jeśli powiem, że te odwiedziny zrobiły na mnie pewne wrażenie.

— No, to naturalne! — przyznałem.

— Tak! — przyjął Chińczyk.

Z N A K.

— Wkrótce potem otrzymałem drugi znak — zaczął Grubas.

— Drugi! A jakiż był pierwszy? — wykrzyknąłem.

— Owa dama w granatowym futrze z popielicami.

— No, jabym tego za znak nie uważał! — mięko zaznaczył Sanio. — Przedewszystkiem ty tej damy nie widziałeś, gospodyni dla jakiejś przyczyny mogła zmyślać, podczas gdy żadnej damy wogóle nie było, a prócz tego nie jest wykluczone, że to była jakaś szwaczka lub panna do pisania.

— Bardzo słusznie! — przerwał Grubas. — Nie pretenduję do objawień anielskich ani wogóle do cudów. Boże mnie broń! Wolę, żeby rzeczy szły trybem zwyczajnym. Ale za to zechciej zrozumieć, że objawienia wśród ludzi inteligentnych nie polegają bynajmniej na zjawiskach w ziemskim czy, jak to się nazywa, niezemskim kształcie. O, wcale nie. I słowa „przybrał na się postać“ mają bardzo głębokie znaczenie —

— Kiedyż tu nikt żadnej postaci nie przybierał! — zniecierpliwził się Sanio. — Mogła nie być wogóle, mogła

być, zajrzeć dwa razy a potem gwizdnąć na ciebie, mogła się skryć, mogła wyjechać na prowincję —

— To wszystko być mogło, ja wiem! Ale: Myśl o niej była odemnie ogromnie daleka! Nie przeczę, że w podświadomości mej żyła, ale nie żyła już, że tak powiem, namacalnie. Nie wchodziła w me życie —

— Tak ci się mogło zdawać.

— Rozumie się. Jeśli jednak nagle — mogło się to zdarzyć i bez mojej gospodyni, ona wcale do tego potrzebna nie była! — jeśli więc nagle widzę ją przed sobą, zaczynam o niej bardzo intensywnie myśleć, pytając się w duchu, czego ona mogłaby ode mnie chcieć, co miałyby mi do powiedzenia i chcąc nie chcąc, odpowiednio do tego duchowo się nastawiam, to —

— To znaczy, że jej duch cię nawiedził! — zezłościł się Sanio. — Koniecznie! Inaczej nie mogło być, rozumie się!

— Możesz się siepać, jak chcesz, ale to postaci rzeczy nie zmienia — odpowiedział spokojnie Grubas.

— Jakiej „rzeczy“?

— Że otrzymałem przez to „znak“, który musiałem zrozumieć wyłącznie jako życzliwe ostrzeżenie, coś w rodzaju: „Uważaj! Zaczyna się!“.

— Niezbyt wiele! — mruczał Sanio.

— Jak na nią — dość. Więcej zrobić nie mogła.

— O kim mówisz?

— Domyśl się! — sarknął Grubas. — Rozumie się, że nie o gospodyni. Czy to ona, czy może jeszcze kto in-

ny, „przybrawszy na się postać“, widzianą a niewidzianą równocześnie, w ten tajemniczy, lub, jeśli wolisz, niezwykły sposób, zjawił się nagle w mem mieszkaniu i, co najważniejsze, w mej świadomości, nastawił me myśli na pewien kierunek, no i — ja uważam to za widzenie. Prawda, biletu wizytowego ten ktoś nie zostawił, uważając mnie prawdopodobnie za dostatecznie inteligentnego, abym się mógł domyśleć, kto to był i poco. Wniosuję z tego, że ten ktoś nieźle mnie znał.

— A drugi znak? — spytałem.

— Miałem sen przerywany i do tego przywykłem. Dopiero nad ranem zasypiałem mocno. Zresztą — czytałem — wszystko jedno, we dnie czy w nocy. Otóż naraz zauważyłem, że budzę się w nocy stale o tej samej porze — zawsze o trzy kwadranse na pierwszą.

— Godzina duchów! — roześmiał się Sanio.

— Mniejsza z tem. To mnie nie wzruszyło. Uderzyła mnie tylko ta punktualność —

— To trudno! — przerwał mu Sanio. — I w największym oblędzie jest jakiś system i w największym nieporządku jest jakiś porządek! Niestety, inaczej już być nie może, jesteśmy tylko ograniczonymi ludźmi!

— Stale powtarzało się to samo! — mówił Grubas dalej, nie zważając na ironiczny ton Sania. — Nagle budziłem się. Przywalony pierzyną, nieruchomy, niby martwy, naraz otwierałem oczy, jak gdyby zbudzony czyjś niegłośnem lecz wyraźnem naleganiem. Czasami wyraźnie słyszałem zamierający tuż przy uchu szept —

— Halucynacje słuchowe! — zauważyłem.

— Naturalnie! — przyznał Grubas. — Ja wam nieopowiadam niczego, co by nie było jakoś przez kogoś nazwane, gdzieś już spotkane! Nie jestem Bogiem, abym mógł pomyśleć, to jest stworzyć rzecz nie nazwaną. I jestem pewny, że to z tą jakąś przyjeźdną panią było też zbiegiem okoliczności czy czemś podobnem. Chcę wam tylko opisać, co się ze mną działo i jak ja to widziałem, czy przeżywałem. To dla mnie najważniejsze. A więc: Budziłem się nagle późną, cichą nocą. Dźwignąwszy się na łokciu, patrzyłem na zegarek. Godzina niezmienna. Zawsze za pięć minut trzy na pierwszą. To stwierdziwszy, spoglądałem w okno. Półmierzch miejski, białozielonawy blask paru latarń na końcu ulicy, to dalsze, to bliższe „hu! hu!“ klaksofonów, czasem jasność księżycowa, w domu zupełna cisza. Opadałem na poduszki i słuchałem, co mówi cisza. Nic. Milczenie. Wsluchiwałem się w siebie, oczy zamykając. Nic. Głucha, niema cisza. Po długiej, długiej chwili huk zamykanej na dole bramy, powolne kroki na schodach, chrobot klucza w drzwiach przedpokoju — to wracał mój sąsiad. Słyszałem, jak się rozbierał, jak się kładł, wreszcie prztyk! gasił światło — i znowu zupełna cisza, że aż w uszach dzwoni. Zwolna wszystko stawało się naturalne, zmęczone, senne. Dobrze mi było w ciepłym łóżku, w cichym pokoju, w znanym mieście, nocą, gdy widma dnia, bezsilne, niczem już nie groziły. To uczucie milej po-spolitości było dla mnie znakiem, że tej nocy nie mam

na co czekać, że już się nic niezwykłego nie zdarzy. Wypijałem, co miałem pod ręką, zapalałem papierosa, czytałem, wreszcie zasypiałem.

— Sny jakie miałeś? — zapytałem.

— Naogół — nie! — odpowiedział Grubas. — Czasem śniły mi się wiadome przedpotowe potwory, tak, wiem, alkoholiczne sny, miewałem też sny żywe i dramatyczne, nawet nieprzyjemne, męczące majaczenia w postaci delikatnie, jakby rysikiem rysowanych lecz żywych, białych twarzy na czarnem tle. Twarze te, zawsze szpetne, pokrzywiały mi się, szybowwały z przed oczu w górę na prawo i znikwały. Także alkoholiczne, wiem! Ale powiedz ty mi jedną rzecz. Dlaczego te mordy, które ci się śnią podczas pijaństwa, te wszystkie stwory przedpotopowe, mają tak brzydki i potworny wygląd, czemu są takie jakieś wyuzdanie, piekielnie szyderskie, czemu się naśmiewają lub brutalnie depczą, czemu one wszystkie mają taki djabelski wygląd?

— Jeśli przypuścisz, że człowiek z tych właśnie chorobliwych przywidzeń ufundował sobie zwierzyniec piekielny — odezwał się Sanio — to nic dziwnego, że je widzisz bujające także i na swobodzie! Wszak to jasne!

— Ale któż ci je zesłał do tej chorobliwej wyobraźni? I dlaczego, podobnie jak prewit, nie natchnie cię nigdy jakąś myślą dobrą, pomysłem szlachetnym, nigdy nic wzniosłego nie robi, ale zato zawsze coś niespodziewanie paskudnego — dlaczego i we śnie dręczą nas zjawy ohydne, zamiast pięknych, kochanych, tych, do których

tęsknimy i które mogłyby wpłynąć na nas dodatnio? Ileż to razy, zachwyceni pięknym snem, budziliśmy się uspokojeni, rozrzewnieni, umocnieni w jakimś swem dobrem postanowieniu czy przedsięwzięciu! Czyżby treści dusz naszych, grzesznych lecz tak cierpiących i tak boleśnie płaczących, nie były warte ani tysięcznej części przebogatego piękna storczyków i motyli, siejących swe blaski wśród krain podzwrotnikowych, dyszących febrą, lub w głębi dżungli?

Ale ja, Bogu dzięki, snów miałem mało i rzadko kiedy. Za to pewnego razu, kiedy się w nocy tak punktualnie trzy na pierwszą za pięć minut obudziłem, ogarnął mnie żywy niepokój, tak wielki, że nie mogąc w łóżku uleżeć, wstałem, narzuciłem coś na siebie i podszedłem do okna.

Był mróz. Ulice świeciły matowo, skamieniałe, głuchonieme. Nigdzie ani żywej duszy. Naprzeciwnie mego okna — pokój był narożny, jak już mówiłem — była ulica. Naprzód parkan, potem dwa czy trzy domy i coś tam niewyraźnego dalej. Patrzę: Zdaje mi się, czy co? Cień! Przy domach, raczej — popod domami. Światło niewyraźne, nie widzę dobrze, ale w mniej gęstych ciemnościach pod parkanem majaczy wyraźniej, nietyle kształt, co ruch. Wreszcie cień wyszedł na światło, rozejrzał się w prawo, w lewo — a potem na lewo wskos przez ulicę — ku bramie mego domu!

— Halucynacja! — bąknąłem.

Sanio potwierdził me odezwanie się niewyraźnym pomrukiem.

— Nie przeczę! — mówił dalej Grubas. — Halucynacja. To jasne. Wtem, po jakiejś chwili: Trzask! — Szafa! Raz! na cały głos! Drugi!

— Na dworze mróz, w pokoju ciepło, szafa prawdopodobnie stała niedaleko okna...

— I owszem! Wszystko to prawda. Niemniej — ja się wzdrygnąłem. Pomyślałem: — Masz znak. Zaczyna się!

— Co?

— Prawda? Co? Ja się też chciałem dowiedzieć. Ten trzask w nocy był dla mnie... jakby to powiedzieć... sygnałem, rakieta, wystrzeloną dla mnie na bardzo wysuniętej pozycji, czemś, co mogło znaczyć: — Jesteśmy już z przeciwnikiem w kontakcie. Uważaj!

TANIEC „MAŁPY“.

Wlazłem do łóżka i zacząłem kombinować. Należało koniecznie uzyskać kontakt z tym kimś, czy czemś sygnalizującym... z Niewiadomem w przestrzeni. Wrażliwości stacji odbiorczej swego telegrafu bez drutu — to się nazywa telepatją! — byłem pewny. Wypróbowałem ją już nie jeden raz. Klucze do szyfrów były w głowie w porządku, mimo pozornego rozprężenia. Ale mnie tego było za mało. Postanowiłem to wzmocnić, zbudować baterję. W pokoju był niski, lekki taburet drewniany, który służył mi zamiast stolika, gdy jadłem w łóżku. Przyciągnąłem go, zgasilem światło, położyłem na nim ręce —

— Idjota stary! — burknął Sanio.

— Tak! — potwierdził z przekonaniem Chińczyk.

— Boże! Jak ten człowiek musiał się męczyć! — pomyślałem.

— i tak, całą siłą prądu umysłowy skierowując w przestrzeń, zasnąłem. Tak, śpiącego z dłońmi na stoliku, zastała mnie rano pani Mufa.

— I po co robiłeś te błazeństwa? — wykrzyknąłem prawie ze złością. — Chciałeś sobie zasugerować sny?

— Nie. Przeciwnie! Choć to mogło się zdarzyć. Ale w ten sposób nie zdobyłem nigdy żadnego snu, przynajmniej żadnego nie pamiętam. Energja, którą rzucałem w przestrzeń, mogła odegrać jakąś rolę w bitwie, która się tam rozpoczęła.

— O ciebie, oczywiście!

— Nie! Tam tragicznie starły się dwie wole, dwie siły, dodatnia i ujemna w fizycznym znaczeniu, nie w etycznym ani innym. Powiedzmy — jak dwa prądy elektryczne. Albo ja zresztą wim! Czułem tylko, że to zmaganie się stanowi o moim losie.

Od tej nocy wiadomości z pola bitwy miałem wciąż. Przychodziły zapomocą stukania. Stukania rozlegały się w ścianach, w drzwiach. —

— Gospodyni! — poddałem.

Grubas roześmiał się.

— Masz słuszość! — wykrzyknął. — Widzisz! To jest wpływ prewitów. Zauważywszy moje „telegrafowanie“ baba zaczęła mi inscenizować różne cuda. Popatrz! Co to za potworność! Widzi człowieka, jak jej się здавало, chorego, może warjata, i szachrajstwem, oszustwem, stara się przestraszyć go, otumanić i wreszcie opanować! Tylko, że ja się w tem odrazu zorientowałem. Za to zdarzało się, że ona ze strachu mało pod sufit nie skakała, gdy naprzykład tuż przed nią w moim pokoju huknęło coś w stół raz i drugi, lub gdy słyszała

dokoła siebie kroki — tylko nie takie ordynarne człapanie jak dziś — a nikogo nie widziała. Mój telegraf działał głównie w nocy, kiedy nikogo przy mnie nie było, czasem w dzień, przed południem i to nie brutalnie, hałaśliwie, ale subtelnie, pukając w szafkę nocną, w blat od stolika lub od stołu... Były i inne, ordynarniejsze, to jest wyraźniejsze objawy, jak pukanie do drzwi i otwieranie się ich, ale o tem już mówić nie chcę, bo to jest poprostu „shocking“. Czemu tak kręcisz głową? — zwrócił się naraz do mnie.

— Alkohol, halucynacje, spirytyzm — tanecznym krokiem szedłeś, braciszku, ku szeroko i gościnnie rozwartym wrotom szpitala dla obłąkanych.

— Nie przeczę! — odpowiedział skromnie Grubas. — Przyczyniła się do tego jeszcze jedna plaga, dotychczas mi nieznana. Pierwszy raz zdarzyło mi się to wieczorem. Siedziałem przy stole, zupełnie ubrany i czytałem jakąś wspaniałą korsarską powieść. Cisza była. Czułem się zupełnie dobrze. Nagle spojrzałem w lewo i ujrzałem stojącą w nogach łóżka umywalnię, na marmurowym blacie miednicę, dzbanek, wszystko jak powinno być. Nie wiem skąd przyszło mi na ten widok na myśl, że muszę wstać i podejść do umywalni. Równocześnie zrobiłem to. I już.

— Co już? — zapytaliśmy wszyscy trzej zdziwieni.

— Ba! Żebym to ja wiedział! Nie wiem nic! Zbudziłem się siedzący na kanapie — i to było przebudzenie się tylko napół. Więc — siedziałem na kanapie, pani

Mufa obcierała mi mokrym ręcznikiem twarz z krwi, Edwardek rozbierał mnie.

— Co się stało? — zapytałem.

— Nie wiemy! — odpowiedziała przerażona pani Mufa. — Usłyszeliśmy tylko przeraźliwy krzyk i łoskot upadającego ciała. Kiedyśmy tu przybiegli, leżał pan we krwi.

Powiedziałem wtedy:

— Chwała Bogu! Teraz przynajmniej wiem, na co umrę!

— I zgadłeś! — odezwałem się. — Na epilepsję nigdy nie cierpiałeś, ty, twój ojciec, ktoś z rodziny?

— Nie! — odpowiedział Grubas. — Czyż nie zauważyłeś jeszcze, że nie jestem genialny?

— To wiedz-że sobie o tem, że to jest skleroza i że z łagodnym uśmiechem na twarzy umrzesz na apopleksję.

— Dziękuję ci! Już mnie o tem uprzedzono! — odrzekł Grubas i dodał: — Ale tej rozmowy bezpośrednio po ataku nie pamiętałem, dopiero na drugi dzień powtórzyła mi ją pani Mufa. Ta „Pochwała leż“ była w gruncie rzeczy bardzo dobra i tylko ohydny prewit zmącił ją swym plugawym planem. I Edwardek też był dobry. Cóż on winien?

— Te ataki powtarzały się? — zapytałem.

— Z początku nawet często. Raz sobie fatalnie nos rozbiłem, przez dłuższy czas nie mogłem się wysiąkać. — Kiedyindziej znów rzuciło mną coś o ziemię podczas wi-

zyty ajenta pewnej firmy, który mnie zanudzał i doprowadzał do rozpacz, a ja sił nie miałem, żeby go wyrzucić za drzwi. Innym razem znowu zleciałem z kamiennych schodów — dziw, że mi się nic nie stało. Było to rano. Byłem najzupełniej trzeźwy. Gdzieś jakoś po dziewiątej godzinie chciałem wyjść. Na ostatniej części schodów nagle straciłem przytomność a gdy ją odzyskałem, ujrzałem pochylonych nademną dwóch posterunkowych. Zrozumiałem wtedy, że albo bitwę w przestrzeni przegrywam, albo też mój front się dla jakichś przyczyn cofa i prewity coraz gwałtowniej mnie atakują.

Czem się to dzieje — nie wiedziałem, więc aby przecie złapać języka, zacząłem urządzać seanse spirytystyczne.

— Pyszny pomysł! — wykrzyknąłem.

— Kompletny warjat! — dodał Sanio.

— Jeszcze nie kompletny! Zaczekajcie chwilę! Zobaczycie! — śmiał się z pewną goryczą Grubas. — Żadnych „cudów“ robić nie chciałem. Moim celem było tylko wzmocnienie mej baterji fluidem tych, którzy siedzieli przy stole. Była to pani Mufa, Marynia, Edwardek i pewien student, też lokator, młody byczek, Pomorzanin, różowa, młodzieńcza, okrągła twarz, okrągły, jasny łeb, byczy kark i bary jak szafa. Ja sam przy stole nie siedziałem. Leżałem w łóżku i osobno trzymałem ręce na swym taburecie. Światła nie gasiłem. Moja lampka nocna w różnobarwnej spódniczce paliła się podczas seansów, abym mógł wszystko widzieć. Rezultaty były małe,

bo nie chciałem energii marnować na „przedstawienie“.

— Tak mówisz! — wsunął mu Sanio.

— Dopuszczałem tylko do tego, co było „juste pour épater le bourgeois“. Więcej nic. „Gros“ fluidu — w przestrzeń!

— Ależ to wszystko — magja! — wykrzyknąłem. — Czy ty tego nie rozumiesz? I to — magja czarna!

— Ach, co, słowa! A ja się słów nie boję! — zachnął się Grubas. — W człowieku jest mnóstwo sił, dotychczas nierozwiniętych, nieużytych, nieznanych. To, co ja robiłem, było robione sposobem zupełnie prymitywnym, jak naprzykład krzesanie ognia przez tarcie dwóch kawałków drzewa w porównaniu z benzynową zapalniczką. O ile mi się, notabene, coś skrzesać udało! Ale przyjdzie czas, w którym człowiek czytać będzie myśli drugiego na odległość i na odległość będzie widzieć, mówić i działać i pokaże się, że to nic nadzwyczajnego, nie żadna głupkowata jakaś magja, lecz zwykłe siły przyrody.

Tylko że aby je odkryć, trzeba subtelniejszych umysłów od naszych, wyrosłych na płytkim materjaliźmie. Minie trochę czasu i ludzie jeszcze na tę drogę wrócą, muszą wrócić! Człowiek pragnie tego rozwinięcia swych nieznanych dotychczas sił, czuje, że je ma, że one rwą się do czynu, chce je wyzwolić i prędzej czy później wyzwoli z pewnością. Bo człowiek zawsze dopnie tego, czego chce. Mieliśmy już nieraz sposobność przekonać się o tem, zwłaszcza w naszych czasach.

— Tak! — z przekonaniem zaświadczył Chińczyk.

— Seanse urządzałem często — opowiadał Grubas dalej — ale nagromadzonej energii nie marnowałem na eksperymenty. Po co niepokoić umarłych, skoro z żywymi dość jest roboty! Ale jednego razu przyszło mi na myśl. — No, mniejsza z tem! Był to pewien manewr!

Urządziłem wieczorem seans w zwykłym komplecie i niespodziewanie, już po rozpoczęciu seansu, kazałem wnieść do pokoju manekin, na którym gospodyni upinała suknie. Stanął sobie w niszy, między drzwiami balkonu, oknem a szafą i stał, a ja prowadziłem seans dalej. Nikomu nie mówiłem, czego chcę. Rozumiecie, że chciałem się przekonać, czy potrafię energję przenieść na przedmiot nie włączony w łańcuch. Siedzieliśmy w milczeniu, zadumani. Był zmrok jak w pokoju chorego, przez okna wpadał z ulicy zielonawy blask, słychać było klaksofony, czasem dom dygotał od basu przejeżdżającego tuż tramwaju. Tak tamci siedzieli, czekając, a ja leżałem w łóżku z rękami na taburecie, wytężając wszystkie siły, cały potem zlany.

Wtem, w niszy — stuk! stuk! — i znowu: — stuk! stuk!

— Jest!

Zaciąłem zęby. Ci, przy stole, ze strachem oglądali się w stronę niszy. Mówię przez zęby — zacisnęły mi się z wysiłku:

— Spokojnie! Nie bać się! „Małpa“ tu przyjdzie, do

nas! Nikomu nic nie robi! Na moją odpowiedzialność! Spokojnie. To ja ja wołałem!

Stukanie powtarzało się przez jakiś czas, aż wreszcie przyłączyło się do niego jakby szurganie nogami — i po chwili z niszy wykuśtykał manekin.

Roześmiałem się głośno, na cały głos, bezczelnie!

— No, nareszcie mam cię w garści! — pomyślałem.

— Kogo? „Ją?“ — przerwałem Grubemu.

— Niech Bóg broni! — oburzył się. — Gdzieżbym ja śmiał takimi sztukami!... Nawet gdybym... Tak tęskniąc, jak tęskniłem... Nie! Za nic w świecie! Otóż właśnie! Takiej magji ja nie uznaję! — oświadczył stanowczo.

— Tak! — pochwalił go Chińczyk.

— Otóż to jest czysto polskie! — zirytował się Sanio.

— Stworzyć fakt, a nie umieć, nie śmieć wyciągnąć z niego konsekwencji! Z takim narodem niepodobna do niczego dojść!

— Głupi jesteś! — rzekł mu spokojnie Grubas. — To są siły tajemnicze, które przy nieumiejętnem obchodzeniu się prawdopodobnie mogą zaszkodzić, może nawet niebezpiecznie! Tego lekkomyślnie traktować nie wolno!

Strachu nie było, ale widok był zajmujący! Cisza i ten z niszy forrykujący manekin na drągu, czarny — bo był czarną, lśniącą satyną dla gładkości obciągnięty — z niewidzialnymi ramionami i głową. Naturalnie, każdy z nas wiedział, że w tej chwili ta „małpa“ jakąś twarz już ma, tylko jej nie pokazuje. A co będzie, gdy pokaże? I co to będzie za twarz?

Kazałem manekinowi stanąć — w myślach tylko! — stanął. Kazałem mu cofnąć się pod okno — cofnął się. Wtedy głośno kazałem mu podejść do stołu — głośno dlatego, aby mój spirytystyczny ludzki ekwipaż wiedział, że „małpa“ jest mi posłuszna, żeby się jej nie bał. Manekin usłuchał. Ale wtedy Pomorzanin nie wytrzymał już. Złapał się nagle za łeb i uciekł. Zato inni, choć się trzęśli ze strachu, zostali. Wkońcu, po różnych ewolucjach, które zresztą ograniczałem, manekin podszedł do mego łóżka, pochylił się nademną i upadł mi na ramię. Na tem się skończyło.

— Co? Głupkowate przedstawienie?

— Tak. Ale to nie było „głupkowate przedstawienie“, choć mimo całej swej groteskowości mogło tak wyglądać. Do czego to zmierzało naprawdę, wiedziałem tylko ja. — To znaczy — wyobrażałem sobie, że wiem. Lecz mniejsza z tem. Po seansie byłem strasznie zmęczony. Kazałem postawić manekin przy łóżku w nogach, w nadziei, że może w nocy zacznie dokazywać i, zgasiwszy światło, zasnąłem.

CZARNE PÓŁKSIEŻYCE.

Jak zwykle po seansie, spałem bardzo mocno całą noc i zbudziłem się późno, po dziewiątej. Dzień był bardzo piękny, słoneczny, niebo błękitne, pogodne tak, że miło było oczy otworzyć i stwierdzić, że się żyje. Pierwszem co zobaczyłem, był manekin. Stał spokojnie z niewinną miną, jak go wieczorem postawiono, z wypiętym dumnie czarnym, połyskującym torsem — zwykły manekin, nic więcej. Przywarował i udawał taki sobie sprzęt — jak to zawsze po wypłataniu jakiegoś figla robią złośliwe przedmioty martwe.

Niezwykle długi, jak na mnie, i mocny sen, znacznie mnie pokrzepił nerwowo. Tylko piersi bardzo mnie bolały, ale to tak bolały, jak gdyby mi w nocy ktoś po nich chodził. Nie płuca, jak się to zdarza przy katarze, więc nie przy oddychaniu, tylko mięśnie, obolałe, zupełnie jakby obtłuczone. Macając się po piersiach, z wielkiem zdumieniem wyczuwałem w nich po obu stronach obrzmienia, niby sutki albo też — co byłoby gorsze — nabierające w piersiach wrzody. Tak się tego zląkłem, że przez jakiś czas leżałem przerażony, rozmyślając, co-

by to być mogło. Wreszcie wyskoczyłem z łóżka, podbiegłem do lustra, rozsunąłem nocną koszulę i ujrzałem pod obu piersiami —

Tu szelma Grubas dla większego efektu umilkł.

— No? — pomogłem mu.

— Dwa czarne półksiężyce!

— Co?

— Niby jak to?

— Jakie półksiężyce?

Pytania sypnęły się jedno po drugim. A Grubas powtórzył:

— Dwa czarne półksiężyce!

— Cóż to było?

— Skąd?

— Dwa ogromne sińce, każdy wielki jak pół mojej dłoni—oto, co to było. Ale skąd się to wzięło—nie miałem najmniejszego wyobrażenia. Właśnie — długi czas stałem tak w koszuli przed lustrem, zastanawiając się, co się to właściwie stało...

— Może się uderzyłeś o co?

— W nocy nie wstawałem.

— Może nie pamiętałeś? Zapomniałeś?

— Najprawdopodobniej wstałeś, straciłeś przytomność, upadłeś, uderzyłeś piersią o kant łóżka —

— To by była pręga a nie półksiężyce, półkola, rozumiesz? I w dodatku, gdyby taki gmach, jak ja, runął całym ciężarem piersią na ostry kant łóżka, to kości

z pewnością by to odczuły... A tymczasem kości nie bolały mnie zupełnie, tylko mięśnie.

— Więc coś to mogło być?

— Alboż ja wiem? Uchyliłem drzwi i, jak codzień, krzyknąłem na Marynię i uciekłem do łóżka. Jak codzień, zamiast Maryni, weszła z piwem i wódką gospodyni. Piwa szklanekę wypilem, zapaliłem papierosa i pokazałem jej czarne półksiężyce pod piersiami. Zdębiała!

— Wyobrażam sobie! — rzekłem.

— Tak.

— Bez słowa, poważna, majestatyczna w swych fioletach, podpłynęła ku drzwiom przedpokoju i zawołała Marynię i Edwardka. Przybiegli i tak we troje stali nademną, w milczeniu przyglądając się moim posiniaczonym straszliwie piersiom i macając je czasem. Zaczęli mnie wypytywać, tak samo jak wy, czy nie wypadłem z łóżka, czy się przypadkiem nie potłukłem, a kiedy zrozumieli, że nie, wszystko troje z trwogą spojrzeli w stronę manekina. Myślałem, że trzasnę ze śmiechu!

— Idjoto! — wykrzyknąłem. — A przecie —

— To ty jesteś idjota! — przerwał mi Grubas. — Bo jeślibyśmy nawet przyjęli, że to miała być odpowiedź zmaterjalizowana na moje wyzwanie poprzedniego wieczoru, to znaczyło, że ja wszystko mam już w rękach, bo moje przypuszczenia potwierdziły się, a zatem — wiem, z kim mam do czynienia! No, zrozumiejsz, stary, że to było najważniejsze, bo jeśli to był istotnie ten ktoś, o kim myślałem, to on mi groźnym być nie mógł, choć

by nie wiem ile prewitów miał na swe usługi! Z temi gadami konszachty prowadzić mógł, owszem, ale użyć ich nie byłby w stanie, ponieważ człowiek ten nie był już twórczy. Dementia senilis, moi kochani, może paskudnie napsocić, ale — nie jest twórcza, niema sił.

— No, tak! — odezwał się. — Nagadałeś się, Gruby, do bezwstydu. Ale teraz pozwól, abym ci powiedział coś, co mi przez ten czas przyszło na myśl. Te twoje czarne półksiężyce, to nie było nic innego, jak tylko artretyczne sińce. Typowo artretyczne!

— Chwała Bogu! — z przesadnym akcentem ulgi wykrzyknął Grubas. — Nareszcie się dowiedziałem! Prawdę mówiąc, od samego początku myślałem, że to będzie coś w tym rodzaju, bo przecie nie macie mnie za takiego kretyna, abym mógł myśleć, że to manekin w nocy mnie deptał. Takie wyobrażenie zmory byłoby naprawdę zbyt groteskowe. Jakbym widział: Pokój, na łóżku w białawo-zielonawem świetle leży śpiący człowiek z twarzą, wyrażającą ból i lęk, a na piersiach skacze mu manekin z „miną złośliwą“ — naszkicowaną jakby fosforową zapalką — w powietrzu, czy jak... Haha!

Dość na tem, że posłuszna skinieniu gospodyni Marynia, przewyciężywszy strach, dzielnie podeszła do manekina i wyniosła go z pokoju.

— A sińce?

— Trwało dość długo, nim zniknęły.

— Słuchaj, Gruby, ja mówię serjo, że takie sińce są

artretycznego pochodzenia. Robią się na całym ciele a wśród nich tworzą się pewne ugrupowania.

— Wiem!

— I to istotnie chwała Bogu, że się pojawiły, inaczej miałbyś artretyzm w kolanie albo. —

— Ja wiem — przerwał mi Grubas. — Wiem! Oczywiście!

— Bo byłoby przecież śmiesznem, gdyby ktoś chciał dopatrywać się jakiegoś związku między temi sińcami a manekinem.

— Ależ oczywiście! Któżby był taki głupi! Nie! Rozumie się, ty masz słusność. Ale przecie nie w tem rzecz, czem i jak powstanie owych sińców — niewątpliwie artretycznych! — uzasadnić, tylko w tem, że się nagle pokazały, choć do tego czasu nigdy ich nie zauważyłem.

— A te ataki, no, te omdlewania nagle powtarzały ci się?

— O, rozumie się. Raz zleciałem z jakiejś wysokiej szkarpy... Czekając na tramwaj, przysiadłem na balustradzie. Wtem straciłem przytomność... Fik! Na dole były druty kolczaste! Podarłem sobie ubranie, łeb pocharałem, pokrwawionego przynieśli mnie ludzie do domu... W tym wypadku przytomność odzyskałem dopiero na drugi dzień...

— Lekarza nie wzywałeś? — zapytał Sanio.

— Nie. Coby tu pomógł lekarz...

— No, zawsze...

— A... to drugie? — spytałem ja. — Bo skoro sądzi-
leś, że tu lekarz nie pomoże, to kto wie ostatecznie,
czy —

Grubas z uśmiechem pokiwał przecząco głową.

— Rozumiem cię! — odpowiedział. — Ale to ja mu-
siałem sam, własną siłą... I ja w swoje siły wierzyłem.
Powtarzam jeszcze raz — nie bałem się, nie zwątpilem
ani na chwilę i w głębi duszy śmiałem się z tego wszyst-
kiego.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie było z czego! — bąknąłem.

— Owszem. Zobaczysz za chwilę. Po tym upadku
gospodyni przeniosła mnie do swego pokoiku, na końcu
korytarza, pod pozorem, aby być bliżej mnie na wypa-
dek jakiegoś ataku czy czegoś podobnego. Sama prze-
niosła się do jadalni. Był to istotnie pozór, bo zbliżała
się wiosna, wraz z nią termin otwarcia P. W. K., a po-
nieważ pokój, jaki ja zajmowałem, był w całym miesz-
kaniu najpiękniejszy, chciała go sobie w ten sposób
uwolnić. Zgodziłem się bez gadania, bo mi nic na tem
nie zależało, przeciwnie, byłem tam mniej skrzepowany
i faktycznie bliżej ludzi.

ROSA MAGICZNA.

Mój nowy pokój był maleńki. Jak to później zauwa-
żyłem, była to właściwie mansarda z jednym oknem
w dachu, wychodzącem na podwórze, w którego głębi
znajdowała się brama, prowadząca na ulicę. Za tą ulicą
z wysokości mej mansardy widać było pole, niby roz-
ległą łąkę lub błonie, już zielone. Po prawej stronie,
w zagłębieniu muru, znajdowały się jeden nad drugim
cztery żelazne ganeczki. Niedaleko muru, oddzielające-
go podwórze od ulicy, rosło jakieś duże drzewo, zdaje
mi się, wierzba lub brzoza. Nie pamiętam już. Pokoik
mój umeblowany był bardzo skromnie. Stało w nim
przy jednej ścianie, tuż pod oknem, łóżko z szafką no-
cną, po drugiej, naprzeciw, otomana czyli „leżanka“, jak
mówią w Poznaniu, dalej duża skrzynia udawała stół,
a niedaleko drzwi w kącie, znów za jakąś skrzynią, cho-
wała się skromnie stara, oszklona serwantka, bardzo
sympatyczny sprzęt. W oknie po obu stronach wisiały
białe, muślinowe firaneczki.

Nie było mi w tym pokoiku źle. Gospodyni zapew-
niała mnie, że tu będę miał zupełny spokój i tak też

przez długi czas było. Po staremu czytałem, prawie nigdzie już nie wychodziłem, czasem rozmawiałem z gospodynią lub Edwardkiem, którzy coraz silniej nalegali na sporządzenie zapisu. Prawdopodobnie powstrzymało ich od tego tylko to, że bali się, aby sprowadzony rejent nie zauważył, że ja piję, a nie wierzyli, abym ja „po trzeźwemu“ pozwolił się ze skóry oblubić. I tak czekaliśmy wszyscy — oni na odpowiednią sposobność, ja na ostateczne rozegranie się swej „sprawy w prze-strzeni“.

Nie zauważyłem nawet, kiedy przyszła wiosna — „der wunderschoene Monat Mai“, a z nim powystawowa gorączka. Znajdowałem się materialnie w położeniu bardzo kiepskiem. Tak, było to istotnie „położenie“. Leżałem na obu łopatkach. Ale nie przejmowałem się tem zanadto. Miałem wciąż wrażenie, że kwestja materialna jest drugorzędna, a cały punkt ciężkości znajduje się gdzieindziej. Dlatego czekałem dość spokojnie, zwłaszcza, iż miałem prawie pewność, że w najgorszym wypadku przecie coś niecoś podczas wystawy zarobię, rozumie się, o ile tamta, ważniejsza sprawa do tego czasu się wyjaśni.

Zresztą nie zmieniał się nic, tyle tylko, że do owego przykrego, niespodziewanego padania, sińców i całego mnóstwa obrzydliwych, bolesnych symptomów alkoholicznych przyłączyło się „skrapianie rosą magiczną“, jak to nazywałem.

— Rosa magiczna? — zdziwił się Sanio. — Cóż to znów?

Grubas uśmiechnął się.

— Tak to uczucie nazwałem — rzekł. — Było to mianowicie wrażenie, jak gdyby mi na twarz padała delikatna, mokra mgielka, temperatury pokojowej, powiedzmy coś w rodzaju rosy — jak się to zdarza w naszym lecie, w pogodny wieczór. Pierwszy raz doznałem tego uczucia w piękne, ciepłe przedpołudnie wracając z miasta do domu. Ni stąd ni zowąd doznałem wrażenia, że ktoś drobnem kropidełkiem lub rozpylaczem zrosił mi twarz. Pamiętam — słońce mi bardzo wówczas w oczy świeciło. Uczucie było tak wyraźne, iż mimowoli otarłem twarz dłonią, aby się przekonać, co to takiego. Ale dłoń pozostała sucha. Spojrzałem w górę, przypuszczając, że może kto tam kwiatki podlewał — ale nie! Potem powtórzyło się to raz i drugi w pokoju, zaczęło się powtarzać coraz częściej, aż wreszcie przywykłem i przestałem zwracać na to uwagę.

— Czemuż nazwałeś to rosą „magiczną“ właśnie! — zapytał Sanio.

— Nie wiem. Widzisz, z tą „magją“ — „sit venia verbo“, to było tak: Przeciwno mnie działał stary człowiek, który pragnął dowieść, że ja jestem stracony, i dlatego całej swej woli używał, aby mnie zgnoić duchowo, inaczej wyszłoby na jaw całe jego potworne oszustwo. Ten starzec sam był djabła wart, dosłownie, przegniły zupełnie i wierzył, że w gruncie rzeczy ja jestem taki

sam, jak on. Na to liczył — i dlatego, rozumiecie, ja się tej walki nie bałem, dlatego byłem wciąż pewny swego zwycięstwa a z niego śmiałem się. Ja! Ale on — nie, on się wysilał i nie domyślał się nawet, że się przez to zupełnie wyczerpuje, niszczy, zabija duchowo, unicestwia — i to nie tylko siebie! On to, świadomie czy nieświadomie używał w walce ze mną czegoś, co moglibyśmy nazwać magją. Ja osobiście przypuszczam, że nieświadomie, a tylko myśli jego, bardzo zresztą silne, jego wytężona wola działała w sferze tak niskiej, że poruszyła przeciw mnie prewity, które używają sposobów nieczystych, leżących w zakresie magji. Moja „magja“ była tylko, że tak powiem, do pewnego stopnia funkcją ich magicznych poczynąń, reakcją!...

— Ale jaki to związek ma z magiczną rosą? — spytałem.

— Skąd się brało to „zwilżenie mej twarzy“, to uczucie — czy ono jest symptomatem jakiej choroby, czy nie, tego ja nie wiem, ale, idąc po linii całej historii, jak ja sobie ją wyobrażałem, nazwałem ową niewidzialną, wilgotną mgiełkę „rosą magiczną“ i byłem przekonany, iż ona pochodzi od mych przeciwników, którzy w ten sposób chcą mnie skruszyć przed zadaniem mi ciosu ostatecznego. A działo się to, powtarzam, wiosenną porą, gdy niebo śmiało się do ludzi, na ulicach sprzedawano fijołki, a serca ludzkie, wyzbywszy się już zimowego zaleknienia, zwracały się znów ku miłości.

— Pięknie powiedziane! — zauważył Sanio.

— Fakt! — rzeczowo rzekł Grubas. — Pora ta miała swoje znaczenie, mianowicie z pewnych względów mogła być dla strony przeciwnej, wiecznie trwożnie czuwającej, niewygodna a może nawet — niebezpieczna.

Wreszcie przyszło do spotkania wręcz.

CZIGIELE — TOLLO.

Zaczęło się to tak:

Wstałem sobie pewnego dnia rano, jak na mój stan ówczesny, względnie świeży i wypoczęty, niby normalny. Pogoda była wspaniała. Już sam widok nieba — nie błękitnego, nie szafirowego, lecz niebieskiego, kapiącego od złota i rzucającego w powietrze płaty białych lśnień — usposobił mnie bardzo dobrze. Uczułem się wesoły, pogodny i życzliwy, wierzący w życie — jak i miasto, które przeżywało pierwsze dni swej wystawy. Oporządziwszy się, jak należy, wyjrzałem przez okno. Za ostatnimi domami ciągnęło się zielono-bure, szerokie, puste pole. Ono się ciągnęło i mnie do niego ciągnęło tak, że się do jego zieleni cieplej uśmiechnąłem.

W domu nie było nikogo, ale ja nikogo nie potrzebowałem. Wszystko miałem pod ręką. Przeszedłszy się po pokojach i pobrzdakawszy chwilę na pianinie, wróciłem do swego pokoju. Tam znów podszedłem do okna i w tej chwili — chluzt mi w twarz! Rosa magiczna! Ale pełna garść! Nie zląkłem się, tylko przykro bardzo mi się zrobiło. Tak cudny dzień — i tak brutalnie da-

je mi o sobie znać nienawiść. Zamyśliłem się. I wtedy — zobaczyłem swego przeciwnika. Zresztą wiedziałem, z kim mam do czynienia, ale wówczas pokazał mi się:

Starcza twarz, pociągła, ciemna, prawie oliwkowa, bardzo pomarszczona. Czoło wąskie, rysy ostre, nos haczykowaty, kokietujący brodę, i w tej posępnej, ciemnej twarzy wielkie, różowe oczy z wyrazem nienawiści i pełnego zimnej pogardy politowania.

— To prawdziwy, żywy człowiek? — zapytałem.

— Tak. Cały wyraz twarzy, okrutny, pogardliwy, a zarazem zadowolony zdawał się mówić:

— Koniec!

A ja patrzyłem w te oczy, głupie od złości, przekrwione piekielną chęcią ugryzienia mnie i zatrucia i pomyślałem:

— Zobaczymy!

Humoru mi to bynajmniej nie zepsuło, przeciwnie. Siadłem sobie wygodnie na kanapie, na taburecie umiesciwszy wszystko, czego potrzebowałem, rozłożyłem przed sobą książkę — znakomitą korsarską powieść amerykańską — i zacząłem czytać. Cudownie! Widzę morze malachitowo-zielone z białymi grzywami fal, niebo jasno turkusowe z białymi, postrzępionymi obłokami i ogromną, cztero-pomostową galerę z wydętymi żaglami, całą oblepioną niemal pozłocanami, cudnie rzeźbionymi figurami. Galera sunie po morzu zielonem jak olbrzymi, pozłocisty gmach, żagle klaszczą czasem, a na mojem poddaszu cicho, dymek papierosa buja sobie sza-

remi wstążeczkami i ucieka przez okno, tak ciepło, spokojnie, wszystko jest... Dobrze żyć!

— Biedaku! — szepnąłem.

Wtem — słyszę śpiew! Nie nadzwyczajnego niby, mogło się zdarzyć, przez jakiś czas nie zwracałem nawet uwagi, aż wreszcie mimowoli podnoszę głowę, patrzę w cudne, niebieskie niebo i robi mi się straszliwie, boleśnie smutno. Jak niejasne przeczucie nieszczęścia czy wielkiego cierpienia zdjęło mnie uczucie nieopisanego osamotnienia i przygnębienia.

Znowu rosa magiczna — chlust w twarz!

A ten ktoś śpiewa wciąż. I to śpiewa bardzo wesoło, z temperamentem, jakieś kuplety, piosenki kabaretowe czy coś podobnego. Słyszę głos, dźwięczny, piękny tenor-baryton, niezbyt pewny, niekoniecznie dobrze ustawiony, może niewyroblony, ale miły, szlachetny w brzmieniu i giętki. Jakie on piosenki wyśpiewuje, nie wiem, nie znam ich, pierwszy raz je słyszę, ale ich siła komiczna jest tak wielka, że już nie mogę czytać! Patrzę w niebo i uśmiecham się, czasem z zadowoleniem kręcę w podziwie głową, to znów śmieję się głośno i wołam: „Brawo! doskonale! znakomicie! brawo!“ A baryton piękny, brzmi dźwięcznie, melodyjnie, zaś wtórują mu biegle dwa „drugie tenory“ i gitara.

Kto to śpiewa?

Nie mogę już wytrzymać dłużej. Muszę zobaczyć!

Wstaję, podchodzę do okna i widzę:

Prostopadle ku bramie podwórza idzie ulica. Róg jej

po lewej stronie jest oparkaniony, lecz za tym parkanem wre praca. Murarze budują dom. Widzę ich, słyszę ich głosy, gwar pracy.

Tuż za tym domem stoi ledwo wykończona, jeszcze nie zamieszкана kamienica czteropiętrowa, z balkonami na każdym piętrze, zaś z tyłu są ganki żelazne, jak zwykle od podwórza. Na parterze tego domu, na balkonie, stoją śpiewacy. Jest ich trzech: Jeden wysoki, bardzo przystojny, ciemny brunet, ze smagłą twarzą o pięknych rysach, zupełnie ogolony, bez kapelusza, z długimi, lekko sfalowanymi włosami, puklami zasłaniającymi policzki. Ubrany jest w długi, czarny surdut przedwojennego kroju, co mu nadaje wygląd poniekąd prowincjonalny, choć śpiewak ten wygląda raczej na rozmyślnie stylizującego się w ten sposób artystę. Wysoki, wyprostowany, uśmiechnięty, podoba mi się, powierzchowność ma sympatyczną, pociągającą. To on jest tym barytonem, głównym śpiewakiem. Po jego obu stronach stoją dwaj jego towarzysze, niżsi od niego, niepozorni, ubrani szaro, ten po lewej stronie barytona akompańduje na gitarze. Ze sposobu, w jaki wtórują, łatwo poznać, że obaj są bardzo muzykalni, ale głosy mają wprost żadne i widzi się odrazu, że sami przez się nic nie znaczą. Typowi i idealni współpracownicy. Wszyscy trzej śpiewają.

Naprzeciw tej wielkiej, czteropiętrowej kamienicy stoi druga dwupiętrowa. To widzę wyraźnie. Reszta domów jest mi obojętna, prawdopodobnie istnieje, ale może nie istnieć. Na ulicy panuje żywy ruch. Widzę, jak białą

w słońcu, betonową jezdnią jadą auta i zwykle wozy. Pamiętam jedno auto, w którym, prócz szofera, siedziały cztery osoby. Skręcając na rogu auto znacznie zwolniło biegu, tak że dokładnie mogłem się przyjrzeć siedzącym w niem osobom. Ani jednej nie znałem. Zapamiętałem też dwukonny, szeroki, ciężki wóz z blaszankami na mleko. Tęgi gospodarz, Niemiec z twarzy, siedział na koźle, a na blaszankach siedziała mała dziewczynka, prawdopodobnie córeczka. Ani osoby w aucie, ani ten woźnica, ani dziewczynka, ani wogóle nikt na ulicy — a ludzi kręciło się na niej sporo — nie zwrócił najmniejszej uwagi na śpiewających.

— Jaka to teraz wolność i swoboda! — myślałem, wracając do swej książki. — Ludzie sobie chodzą po ulicy, jeżdżą tramwaje, samochody, wozy z mlekiem, z piwem, z czym kto chce, a ci wyleźli sobie na balkon pustej kamienicy, śpiewają głośno i nikt im nie broni, nie przeszkadza, nikt nawet uwagi nie zwraca. I całkiem słusznie, bo skoro na ulicy jest taki gwar, to cóż komu szkodzi, że trzech ludzi sobie pośpiewa przy akompaniamencie gitary! Nic! A dawniej policjant natychmiast spędziłby ich z balkonu za naruszenie porządku i zakłócenie spokoju czy jak tam. A swoją drogą, po co oni wleźli na ten balkon?

— Przepraszam cię! — przerwałem Grubasowi opowiadanie. — O ile sobie przypominam, powiedziałeś na początku, że z okna tego widać było ulicę, idącą, powiedzmy, przez tę twoją „scenę“ poprzecznie —

— Bo też tak było! — wtrącił Grubas.

— A za tą ulicą było pole?

— Tak.

— Więc skądże się wzięła naraz ta druga ulica, prostopadła, z domami, z betonową jezdnią, z temi autami i wozami, z nowobudującym się domem narożnym —

— Nie wiem! — uśmiechnął się Grubas. — Słuchajcież co dalej było!

Ci trzej na balkonie śpiewali w dalszym ciągu, ale ja nie słuchałem, bo się zaczytałem, a właściwie zamyśliłem nad tem, skąd się tu ci śpiewacy wzięli, i czego szukają. Ich pomysł wyśpiewywania sobie na ulicy podobał mi się. Było w nim coś z młodzieńczej zamaszystości, fantazji... Pogoda piękna, więc na świeże powietrze! Żyjemy na ulicy, wszyscy razem, nie mamy się z czem kryć, a jeśli się kryjemy, to tylko po to, aby nie razić drugih publicznem spełnianiem funkcji, zresztą znanych. Że to byli przyjezdni, o tem nie wątpiłem ani na chwilę. Co więcej, byłem pewny, że to są Małopolanie, ściślej — z Krakowa, ale nie rodowici krakowianie, o, nie... Oni są — z Wadowic... Z Wadowickiego... to pewne...

— Tak! — potwierdził Chińczyk.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Nie wiem, ale byłem tego pewny. Soła nazywa się tam ta szeroka, zawsze lśniąca, duża rzeka. A są tam góry — nie tak wielkie, jak tu, ale kopce porządne, pokryte wsiami leżącymi w sadach, wygrzewających się do

słońca na stokach gór. Byłem tam na wiosnę i widziałem góry, białe od kwiecica... Wędrowałem przez te góry w jesieni i widziałem granatowe warkocze śliw, zwisające ku ziemi, przebogatym owocem obsypane... Wiem o tem, że w zakątkach tej krainy, leżącej na uboczu, drzemie przebrana w bajdy mądrość stuleci, znająca różne tajemnice... A ludzie z tych wiosek słonecznych na zboczach gór, z ustroni leśnych i kotlin z odludnemi chatami, są zdrowi, uśmiechnięci i mądrzy, wiedzą dużo...

— Dobrze, ale dlaczego ci śpiewacy musieli być konieczni z Wadowickiego?

— Nie wiem. Opowiadałem wam tylko, co myślałem. Poprzestałem na przypuszczeniu, że to są najprawdopodobniej śpiewacy estradowi, humoryści, angażowani przez jakieś przedsiębiorstwo wystawowe i że, mając śpiewać w ogromnej prawdopodobnie hali, przez śpiewanie na ulicy chcą wzmocnić głosy, a równocześnie próbują swego repertuaru. Że było tak a nie inaczej, wkrótce się przekonałem.

Mianowicie, po krótkim odpoczynku, tenor-baryton wyraźnie i z wielką emfazą zaśpiewał:

— Czigiele Tollo, tytoń ci się należy!

— Co? — zdumiał się Sanio.

— Chyba zwarjowałeś! — rzuciłem.

— Tak! — oznajmił Chińczyk.

— Wcale nie zwarjowałem! — zaprzeczył Grubas. — Przeciwnie, byłbym raczej powiedział, że to ten śpie-

wak zwarjował. Bo niby co to znaczy: — Czigiele Tollo, tytoń ci się należy! — Po jakiemu to jest, to „Czigiele Tollo“, cóż to znów za niesłychanie ważna wiadomość, że jemu należy się tytoń! Bądź co bądź, wysoki brunet z całą powagą dźwięcznym swym barytonem obwieścił to światu, a adlatusy jego powtórzyły gromko:

— Czigiele Tollo!

— Czigiele Tollo!

— Brrding! — dźwięknęła gitara.

Słuchałem uśmiechnięty, pewny, że to jakiś kawał kabaretowy. I nie omyliłem się. Powiadam wam — to było coś niesłychanego! Dawno już nie zdarzyło mi się spotkać ludzi tak muzykalnych, z takim twórczym wgrzyzieniem się w muzykę, z tak muzykalnym humorem. Trawestowali oni mianowicie w sposób wprost nadzwyczajny motywy z różnych oper — nie, tworzyli je gienjalnie w manierze danego kompozytora, improwizując tercety i równocześnie wykonując je w karykaturze, uwydatniającej przepyszenie tak zwaną „stylową“, operową gestykulację aktorską, a wszystko do słów „Czigiele Tollo! Tytoń ci się należy!“. To zdanie śpiewało radośnie, rozszczepiało się w kłótnię, gniewało się zniecierpliwione, prosiło, płakało, zawodziło — a ja się zanosilem od śmiechu! „Czigiele!“ — huczała cała ulica, „Czigiele!“ dzwoniły szyby, „Czigiele — tytoń!“ huczały bramy, „Czigiele! Czigiele! Czigiele!“ ćwierkały wróble, czekały psy, wołały dzieci, a wszystko uśmiechało się, aż wreszcie w krótkiej przerwie jeden z robotników,

pracujących przy budowie kamienicy narożnej, zawołał mocnym basem, rozbawiony ale i zniecierpliwiony zarazem:

— Czigiele Tollo! Tytoń ci się należy!

Krzyknął to tonem tak urzędowym, jak gdyby wzywał kolegę do „fasowania“.

Nie wstając z kanapy, nie ruszając się z miejsca, widziałem, jak śpiewacy, zadowoleni ze swego powodzenia, uśmiechali się. Z okna drugiego piętra przeciwległego domu wychyliła się młoda, czerwona na twarzy kobieta w perkalowej, popielatej bluzce, z głową owiniętą białą chustką, jak to bywa przy sprzątaniu, i coś do nich zawołała. Wyglądała mi na byłą aktorkę. Prawdopodobnie wołała ich na śniadanie. Wysoki brunet, jak przypuszczałem, jej mąż, nie przestając śpiewać, kiwnął jej głową, że dobrze, poczem to „Czigiele!“ zaczęło „prestissimo“ wywracać w ulicy koziółki, aż wkońcu zamarło w poważnem „Cziiiii-gie-le!“. Biłem brawo, jak szalony, ale choć je biłem tylko ja i choć ja jedyny — wyjąwszy owego murarza, który niecierpliwił się, że Czigiele po tytoń nie przychodzi — choć ja jedyny zwracałem na ich śpiew uwagę, tenor-baryton udał, że mnie nie widzi, tak *udał*, że w tej chwili zrozumiałem, iż on ignoruje mnie umyślnie i to mnie zdziwiło w pierwszej chwili, a potem zmartwiło. Odnosiłem się do niego ze szczerą życzliwością, a on — był najwidoczniej do mnie uprzedzony i usposobiony nieżyczliwie, jeśli nie — wrogo.

Speszyło mnie to.

Zacząłem się zastanawiać, co on mógł przeciwko mnie mieć?

— Ale jak ty to mogłeś widzieć? Przecie masz krótki wzrok! — wykrzyknąłem.

— A kto to był ten jakiś „Czigiele“? — zapytał Sanio.

— Czekać! Na wszystko naraz nie mogę odpowiedzieć! Pytasz, jak ja mogłem widzieć? O, znakomicie wtedy widziałem, przez mury, przez ściany, widziałem wszystko.

— Nawet to, czego nie było! — przerwałem — Zastanów się, człowieku!

— E, zawracasz głowę! To była zwykła halucynacja, a ty —

— Halucynacja? Może tak. Taki termin psychiatryczny istnieje, wiem. Czy zwykła halucynacja, zobaczysz.

— A ten Czigiele? — zapytał znów Sanio. — Czy był taki?

— Nie! — odpowiedział Grubas, uśmiechając się i kręcąc równocześnie głową przecząco. — O ile ja wiem, żadnego Czigiele Tollo nigdy nie było.

— Więc skąd to imię? — pytał Sanio.

— Jako młody student śpiewałem w krakowskim chórze akademickim. Była wtedy modna jakaś „Serenada Japońska“, w której te słowa przychodziły i którymi ona się kończyła.

— Widzisz, że to była halucynacja! — rzekłem.

— Naturalnie. Nie przeczę. Ale zrozumiesz chyba, że ja wówczas za halucynację tego wszystkiego uważać nie mogłem, no i nie uważałem. Natomiast zdziwiło mnie bardzo, iż ci nieznani mi śpiewacy znają to słowo, które było czemś w rodzaju zaklęcia do czasów mej młodości, włóczenia się nocami po Plantach, wędrówek o wschodzie słońca na Krzemionki czy nad Wisłę, kawiarnianych i knajpianych dyskusyj i innych takich przyjemności studenckich. W całym Poznaniu ja jeden znałem i pamiętałem to słowo, bo niewielu pozostało już tych, którym ono przypominało zapach bzów w małym rondzie obejmującym pomnik Grażyny... Wybaczcie! W tej chwili widzę: Wieże Wawelu, napół zakutane w chmury, wymieszane z światłem księżycowym, i widzę białą, jak duch, Grażynę w zbroi, pochyloną nad sennym Litaworem, słowiki śpiewają, a ojciec z mamą siedzi na ławce pod krzakami, słucha i widać ogieniek jego papierosa... Przepraszam za dygresję, lecz ona należy do opowiadania... Więc Czigiele Tollo i „Serenada Japońska!“ Popisujący się przed mym domem tego ranka śpiewacy nliczni nie mogli pieśni tej znać z czasów, gdy czterdzieści młodych piersi wciągało w siebie dech i stroiło swe gardła chrząkaniem. Pieśń dawno umarła! Pozostały z niej może te dwa dziwaczne słowa, to „Czigiele Tollo“, które im utkwilo w pamięci prawdopodobnie jeszcze w dzieciństwie, gdy może kilku byłych śpiewaków chó-

ru akademickiego spotkało się i czasem w jakimś Oświęcimiu czy innym Zatorze odgrzewało przy bombkach „Żywca“ swój dawny repertuar... Bo w mieście któżby tak długo pamiętał? Ot!

Ale dlaczego ci śpiewacy, którzy tu przywędrowali jakby z hasłem dla mnie i wykrzykiwali je na ulicach, czemuż oni odnoszą się do mnie tak niechętnie i nieżyczliwie? Wysoki brunet, bas-baryton, ignorował mnie zupełnie wyraźnie, jego towarzysze „nie widzieli“ mnie starannie, konsekwentnie —

— Więc to wszystko było halucynacją? I ulica i domy i ludzie na ulicy i ci śpiewacy i pieśni — wszystko?!

— Wszystko — jeśli ci się tak podoba. Tylko nie dzień, i nie niebo i nie słońce i nie pogoda i — Mniejsza z tem!

Z przykrem uczuciem wróciłem do książki. Jeśli oni mi się swem „Czigiele Tollo!“ — ogłosili, jeśli mnie tak rozmyślnie inorują, to tem samem zawiadamiają mnie poniekąd o swem przybyciu i jakichś machinacjach przeciw mnie. Nie zląkłem się tego, ale mnie to speszyło. Wszystko, co mnie otacza, jest mi wrogie! — myślałem. Uważacie? W ten sposób prewity podkopują w człowieku wiarę w siebie, chcą go osłabić. — Już nawet oczami wyjść z pokoju nie mogę, żeby się na coś przykrego nie natknąć! — Tak myślałem.

Wobec tego rozebrałem się i położyłem się do łóżka.

— Nie ruszę się już ze swego barlogu! — postanowi-

łem sobie. — Wódkę mam, papierosy mam, książkę mam, zresztą nic mnie nie obchodzi.

Jakiś czas czytałem, potem zasnąłem.

Kiedy się zbudziłem, było już po trzeciej południu.

WYZWANIE.

A obiad?

— Żadnych obiadów nie jadałem. Więc — zbudziłem się i w tej chwili bryznięto mi w twarz „rosą magiczną“. Zapaliłem papierosa i czas jakiś leżałem „orientując się w sytuacji“, to znaczy, łapiąc z trudem bezustannie wymykający mi się wątek. Ale nie byłem w złym humorze, przeciwnie, cisza gorącego popołudnia sprawiała mi przyjemność. Nie wstając z łóżka i tyłem do podwórza odwrócony, ujrzałem w niem dwoje dzieci, bawiących się spokojnie pod drzewem. Jedno siedziało na piasku, a drugie stało z zadartą główką, patrząc w górę. Tam, w kącie, na ganeczku z czarnych prętów żelaznych, znajdowała się młoda kobieta w popielatej bluzce i z głową, obwiązaną białą chustką i przechylona przez poręcz, mówiła coś do dzieci i śmiała się. Mnie widzieć nie chciała. Podwórze było pełne słońca, szyby w oknach były błękitne, żółto pomalowane ściany domu promieniały, w dali gorzało buro-zielone pole. Zdaje mi się, że wstałem i stanąwszy w oknie, przyglądałem się tej scenie, co owa kobieta z niezadowoleniem spostrze-

gła. Zachnęła się gwałtownie, niecierpliwie, a twarz jej poczerwieniała jeszcze bardziej i stała się zacięta, zła.

— Przepraszam cię bardzo — przerwałem Grubasowi opowiadanie — ale chciałbym cię o coś zapytać.

— Proszę bardzo!

— Mam tu kilka twarzy, nieprawdaż?

— Tak.

— Twarz starca, nieprawda-ż, oliwkowa z różowymi oczami, tak?

— Tak.

— Znałeś go może?

Grubas zawahał się.

— Przypuśćmy, że tak! — odpowiedział wreszcie.

— Więc znałeś go? Dobrze. Starzec ten był dla ciebie usposobiony wrogo. Tak?

— Tak.

— A wysoki brunet? Ten piękny tenor-baryton? Znałeś go także?

— Nie. Jemu podobnych widziałem wielu, jego samego osobiście nie znałem. Nigdy z nim nie miałem do czynienia, ale jestem pewny, że się jeszcze z nim spotkam. Podejrzewał bym w nim duszę półinteligientnego lokaja-samouka, obrażonego na ludzkość w swej zawiedzionej manji wielkości, zręcznością udającego talent. Zewnętrznie wyglądał mi na Czecha z Moraw lub Śląska, lub na Polaka kiedyś może czeskiego pochodzenia. Stąd też myśl o Wadowickiem, tam Czesi przesiadają. On i jego adlatusy wyglądały mi na przewity.

— Doskonale! A teraz — wybacz, miły! — owe dzieciątka i kobieta. Ta grupa nic nie przypominała?

— Nie. Takich grup widuje się mnóstwo wszędzie a przypominam, że zachowanie się tej młodej kobiety wobec pięknego barytona nasunęło mi myśl, że jest jego żoną. Zresztą, zaznaczyłem już, że zrobiła na mnie wrażenie *byłej* aktorki, nie występującej już, przez co należy rozumieć, iż uważałem ją za osobę nie należącą bezpośrednio do zespołu i nie grającą żadnej roli w przedstawieniu.

Ale tu się omyliłem.

Nagle ujrzałem ją na dole, na podwórzu, przy dzieciach.

— Przepraszam cię! — przerwałem znowu Grubemu.

— Czy nigdzie jej przedtem w życiu nie spotykałeś?

— Otóż nie! Była mi zupełnie obojętna, nigdy jej nie widziałem, choć znowu muszę powiedzieć, że takie, jak ona, widywałem. Nie! Jesteś w błędzie i zaraz ci to wykażę. Gdyby to była „tamta“ —

— A więc prócz „niej“, była jeszcze i „tamta“? — uśmiechnąłem się znów ja.

— Była! — kiwnął głową Grubas. — Ale proszę cię, odpowiedz mi teraz ty na jedno pytanie: — Dlaczego nie zostałeś policjantem, sędzią śledczym lub psychjatrą?

— Bo jestem literatem, rozumiesz? — odpowiedziałem.

— No to zrozumiej: Gdyby to była „tamta“ i zaczę-

ła mi stroić jakieś miny, nie zdziwił bym się. Miała do mnie pretensje. Ale postępowanie tej nieznajomej zdziwiło mnie w nieprzyjemny sposób, bo przecie pierwszy raz w życiu ją widziałem i nie zrobiłem jej nic złego.

— A tamtej?

— Może być, że tak. I może być, że ona chciała się na mnie mścić. I może mściła się... I może ty masz słuszość...

— A czy przypadkiem nie zachodzi jaki związek między tą kobietą a owym starcem?

— Powiedzmy ściślej: Z ową starczą twarzą!

— Aha! Dziękuję ci za ułatwienie! Więc z ową — starczą, oliwkową twarzą z haczykowatym, cienkim nosem i różowemi oczami?

— Pośrednio tak. Ale w akcji obie te osoby nie są ze sobą związane niczem. Słuchaj tylko dalej, a wkrótce się przekonasz.

— Więc — zobaczyłem tę kobietę na podwórzu przy dzieciach. Ciąkała się z niemi w głupi sposób, robiła do nich słodkie miny a nie widziała, że dzieci są z odkrytymi głowami i że słońce je pali. Wtedy ja zwróciłem jej na to uwagę —

— O! — wpadłem Grubemu w połowie zdania. — A jakim prawem?

— Uważałem to za swój obowiązek! Wtedy ta nieznajoma nagle chlusnęła na mnie strugą wymyślań — na cały głos!

— To była „tamta“! — wykrzyknąłem.

— Jesteś tego pewien? — zwrócił się do mnie Grubas. — Ja pewien nie byłem!

Widząc, że się zanosi na awanturę, umilkłem i próbowałem czytać dalej. Bo przez cały czas nie wstawałem z łóżka, wszystko widziałem jakimś drugim wzrokiem — i ścianę, skrzynię i serwantkę przed sobą i podwórze z dziećmi i tą kobietą.

I znowu usłyszałem śpiew — ale tym razem nie męski lecz kobiecy, właściwie melodeklamację, ale paskudną, wstrętną. Głosem jędzowato-rozżartym, zachłystującym się żółcią i nienawiścią, drewnianym, jakby przepitym, przypominającym głos śpiewaczki podwórzowej, kobieta owa zaczęła śpiewać kuplety — na mnie, z wymienieniem mego imienia i nazwiska, wytykając mi wszystkie moje zbrodnie!... Aż mnie zatkało ze zdumienia! Słucham oszołomiony, osłupiały, a ona drze się na całe podwórze, wściekłym wzrokiem patrzy w moje okno, zatacza się jak pijana i wyrzaskuje swoje obelgi — a tu cisza popołudniowej drzemki, wszystko słychać! Przez jakiś czas leżałem, myśląc, że jędza przecie raz skończy, ale ona nie, jakby rozmyślnie mnie prowokując, szczeka wciąż. Oburzony do najwyższego i doprowadzony do ostateczności, krzyknąłem na cały głos:

— Stul pysk, ty ścierwo, odczep się odemnie, bo cię do kryminału wsadzę!

A ta wówczas jak się nie rzuci na mnie:

— Co? To ja jestem ścierwo? Ja się mam od ciebie

odczepić? Ja się nie odczepię! Ja się dopiero przyczepię do ciebie! Zobaczysz!

Zdębiałem na taką bezczelność, ale ona wpadła w boczną bramę podwórza i zniknęła.

— Teraz ja ci powiem, — odezwał się Sanio — że to z pewnością była halucynacja na tle alkoholicznym! To się zdarza i jest bardzo charakterystyczne! Opowiadał mi to jeden kolega, który taką halucynację miał trzy razy. Co ciekawsze jednak, halucynacje te odznaczały się niesłychanie jasną koncepcją rzeczywistości, znakomitą oceną sytuacji i przenikliwością, przewyższającą nieraz znacznie inteligencję ich mimowolnego autora.

— Ba! To jest kogo? — roześmiał się Grubas. — Więc jednak — pomijając wszystko — jeśli tym autorem jestem ja — bo jakże może być inaczej — wynika z tego, że w danym razie mogę pomyśleć to, czego wogóle pomyśleć nie jestem w stanie? Że z naczynia, w którym niosę wodę, mogę nalać niespodziewanie wina?

— Więc co ty powiesz?

— Głupstwo powiem oczywiście! To już na scenę wystąpiły prewity! One mnie sprowokowały, aby mieć pretekst do nocnego przedstawienia!

— Jakiego przedstawienia?

— Zaraz zobaczycie.

ZA PIĘĆ MINUT TRZY NA PIERWSZĄ!

Kiedy ta jędza uciekła, zasnąłem i spałem bez żadnych snów długo. Zbudziłem się w ciemnościach. Machinalnie zapaliłem światło i spojrzałem na zegarek. Było za pięć minut trzy na pierwszą.

— Spodziewałem się tego.

— Tak! — odezwał się niespodziewanie Chińczyk.

— Noc była ciemna, ciepła, pogodna. Przez otwarte okna słyszałem daleki, wesoły szum podnieconego miasta. Wystawa była już otwarta. Kamienica spała cicho. W mieszkaniu też panowała cisza zupełna. Ktoś był w moim pokoju, gdy spałem, ponieważ na szafce nocnej przygotowano mi wszystko, jak co wieczór.

Zupełnie wyspany wsadziłem nos w książkę i czytałem sobie.

Wtem coś zaczęło mnie niepokoić. Przez długi czas nie zdawałem sobie sprawy, co by to mogło być. Przerwawszy czytanie, wracałem do zdania, podczas czytania którego doznałem uczucia zaniepokojenia i analizowałem je, analizując poszczególne słowa, szukając między słowami — nic! Wśluchiwałem się w atmosferę domu,

w ciszę — bo, widzicie, bywa cisza senna, cisza martwa, cisza groźna, wyczekująca, melancholijna, radosna, rozmodlona, zwiędła, uroczysta, zwykła, cisza zapomnienia i cisza słodkiego zachwyty — różne, różne są cisy, jak różne są zamyslenia! — Ale nie! To była zwykła cisza późnej nocy miejskiej z kroplą wiosennego, majowego rozmarzenia.

Czytałem dalej, starając się odpędzić czyjaś złośliwą myśl, insynuującą mi zaniepokojenie. A to już był atak prewitów, uważacie? Już się, jak Indjanie, ciemną nocą pod moje serce podkradali! Słuchajcie tylko!

Czytam i czytam pilnie, ale nic nie rozumiem. Gdzieś, z głębi duszy w przebraniu wychodzi trochę tępy, ale przeważnie wierny nam agent policji tajnej, pełniący służbę w strefie granicznej między świadomem i nieświadomem. Wiecie, że on istnieje.

— Jest! Jest! — zaśmialiśmy się.

— Tak! — palnął Chińczyk.

— Tego prewita należało by też wziąć raz do galopu! — śmiał się Sanio. — Niedbały jest!

— To nie prewit! — sprzeciwiał się Grubas. — I on nie jest niedbały, tylko poinformowany mało a często źle. Załamuje się w obowiązującej go bezstronności, która robi go tępym. Jest to typowy podoficer! Otóż ten kapral wylazł, myszkuje, węszy, nieznacznie rewiduje mnie, chce na gorącym uczynku złapać tę myśl, która mi czytać nie pozwala — niema nic! W nadgranicznych zaroślach spokój zupełny, ani żywego ducha!

A mimo to coś mnie niepokoi! Czy to mysz gryzie w koszu jaki papier, czy piesek mały drapie drzwi i chce się dostać do pokoju, czy kot cichutko miauczy pod drzwiami? To nie, ale jak gdyby coś w tym rodzaju.

Znowu borykam się z książką i znowu coś szarpnęło moją myślą, że dźwięknęła, jak szarpnięty palcem, silnie napięty drut lub struna — e, do diabła, wszystko jest struną dla tego, który umie grać!

— Naturalnie! — potwierdziłem gorąco.

— Tak! — rypnął Chińczyk.

— Podniosłem głowę, rozglądam się, wpatruję się w twarz sprzętom... Miny zwykle, jak gdyby nigdy nic. Niektóre, mające dyżur nocny, są trochę senne i wyglądają, jak skisłe, inne — śpią spokojnie, z czystym sumieniem. A jednak „coś“ w pokoju jest... niby obce ciało...

Wtem zauważyłem, iż wiem, słucham i słyszę, jak na podwórzu ktoś gwizdże. Wiem i słucham, ale sam przed sobą tak wciąż udaję, że nic o tem nie wiem, że nie mogłem zorjentować się, co odrywało mą uwagę od książki. Dlaczego to? Czyżbym się tego gwizdania bał? Z pewnością nie! Wiem, że walka mnie czeka, jestem do niej przygotowany, pragnę jej, nie boję się niczego! Więc? Co mi do tego, że ciepłą, ciemną nocą wiosenną chłopiec na podwórzu dziewczynę sobie zgwiszduje. Nie moja rzecz!

A ten gwizdże wciąż! Nie jak na psa! nie jak na gołębie, ale jakoś dziwnie! Jest to cienki, bardzo wysoki

gwizd i bardzo długi, przenikliwy i wyraźny, choć ostro-
żnie stłumiony, niby przeznaczony dla jednej tylko,
uprzedzonej już osoby.

— Tak! — przerwał Chińczyk, widocznie broniąc się
ogarniającej go emocji.

— Żyjesz przecie! — mruknąłem.

— Tak!

— No to siedź cicho!

— Ten cichy, ostrożny gwizd — opowiadał dalej Gru-
bas — przypominał, powiedzmy, cieniutką strużkę wy-
soko-tryskającej fontanny, albo też określmy go, jako
cieniutką lecz bardzo mocną nitkę, powiedzmy — włosie
z haczykiem, zarzucane w przestrzeń, aby kogoś złowić
jak na wędkę. Miałem wrażenie, że drab w ciemnościach
zarzuca tę wędkę na mnie. To wrażenie było bardzo
nieprzyjemne.

— Czego on właściwie odemnie chce? — myślałem. —
Czemu mi dziurę w brzuchu wieri tem gwizdaniem?
Kanalja!

Zaczynało mnie to irytować. Wstałem, wyjrzałem
z okna, szukałem wzrokiem pod bramą, we wnęce mu-
ru pod ganeczkami, przy tylnem wejściu — wszędzie
ciemno, aż czarno, a ten gad tam gwizdze i gwizdze, cie-
niusieńko, wytrwale, jak gdyby moją duszę chciał do
siebie zgwizdać!

Myślę znowu:

— Czego on chce?

A naraz przychodzi mi na myśl:

— Drań robi to, czego właśnie chce! Chciał cię zanie-
pokoić — zrobił to! Chciał ściągnąć na siebie twoją
uwagę — ściągnął! Uważaj, to chytry gość! Doskonale
wie, co robi! Nastrój robi!

— Ale cóż może znaczyć to głupkowate gwizdanie? —
pytałem sam siebie.

— Zaraz się dowiesz! — powiedziałem sobie. — Na
tem z pewnością się nie skończy!

Gwizdanie trwało jeszcze jakiś czas, poczem umilkło.
I znowu bryźnięto mi w twarz „magiczną rosą“.

Cisza. Cisza przed burzą.

Skorzystałem z tego i uciekłem do łóżka wraz z książ-
ką i wszystkim innem.

— Przepraszam! — przerwałem Grubasowi. — Po-
wiedz, ale tak — z ręką na sercu — byłeś wówczas pi-
jany?

— Ja wówczas wogóle już nigdy nie byłem pijany,
choć piłem wciąż! — odpowiedział Grubas. — Czasem
tylko zasypiałem, nagle, mocno, bo byłem bardzo osła-
biony, ale pijany nie byłem. Tej nocy także nie, mniej
wogóle piłem, niż zwykle, bo dużo spałem. Myślałem zu-
pełnie logicznie.

Po jakimś czasie słyszę — drań gwizdze na podwórzu
znów.

— Czego chcesz, bydlę jakies? — zapytałem półgło-
sem.

Pogwizdał, pogwizdał i uciekł.

A wtedy, słyszę, — przez ściany, przez mury, wśród nocnej ciszy —

— Głos się rozchodzi! — wtrącił Sanio nerwowo.

— Ktoś gra na fisharmonji! — skończył zdanie Grubas. — Słyszę doskonale jakieś takie sobie, obojętne, głupawe preludjum organowe, jakby je skomponował jakiś niemiecki konserwatorzysta, a potem — najwyraźniej w świecie słyszę — zaczyna się — msza śpiewana.

CZARNA MSZA.

— W nocy?

— W nocy, w mieszkaniu prywatnem.

— Do kościoła chodzisz często? — spytałem.

— Ta daj spokój, co gadasz! — smutno jakoś odpowiedział Grubas. — Czy to ja godzien? Gdzie taki, jak ja, może do kościoła chodzić! Ta jaby tylko zapowietrzył to święte miejsce! Ale słyszę: — poważnie, uroczyście, z namaszczeniem rozlegają się słowa:

Vere dignum, et justum est, aequum et salutare, nos tibi semper, et ubique gratias, Lucifer omnipotens, aeternae —

— Co? Lucifer? — wykrzyknąłem zdumiony.

— Czarna msza! — objaśnił Sanio.

— Tak! — szepnął Chińczyk.

— qui in te manens innovas omnia—i tak dalej! — kończył Grubas.

— Ależ to straszne! — zawołałem.

— Uch! — stęknął głucho Grubas i machnął ręką, jakby chciał tem powiedzieć: — To jeszcze nic! Zobaczycie dalej!

A po chwili mówił powoli:

— Przez mury, w ciszy nocnej, głucho lecz wyraźnie płynęły z dołu dźwięki i słowa. Była to niewątpliwie czarna msza.

Struchlałem.

Podobna potworność z całą bezczelnością tu, wśród ludzi, popełniona! Co za odwaga tych ciemnych sił, co za zuchwalstwo, co za pewność siebie! W głowie mi się to pomieścić nie chciało!

Myślałem szybko:

Nikt inny nie może tu posługiwać się magją czarną, wyjąwszy tę trupę śpiewacką, do której w obrzędach magicznych należała widać i kobieta ich, bo wśród głosów męskich wyraźnie słyszałem jej kabaretowy mezzo-sopran. Była to zatem jak gdyby okultystyczna trupa, żywe koło magiczne, z którym prawdopodobnie popadłem w konflikt.

— Jak ty to, Gruby, rozumiesz? — zapytałem.

— Ach, teraz mi przeszkadzasz, w takim miejscu! — zniecierpliwił się Grubas.

— Tak! — podchwycił jego ton Chińczyk.

— Cicho, chodja! — rzuciłem mu.

— Jak rozumiem swój zatarg z magicznym kołem? — mówił Grubas. — No! Pomyśl: Ono istniało i miało swój pewien teren działania. Może się to nie nazywało „żywym kołem magicznym“, tylko inaczej, ale istniało z pewnością i działało. Co robiło? Djabli je wiedzą —

— To pewne! — stwierdziłem.

— Tak! — dorzucił Chińczyk.

— ale z pewnością nie chodziło im w tej robocie o pięć złotych. Takie działania mają przeważnie cele bardzo doniosłe — o ile ich koncepcja jest konkretną, a nie fantastyczną, lub iluzoryczną — choć co my o tem możemy wiedzieć! — przygotowania trwają z pewnością nieraz bardzo długo, kto wie, czy nie lata całe, być może, są niebezpieczne, trudne, a tu naraz ja wpadłem im ze swym prądem i wszystko im popsulem, porwałem z trudnością nawiązane kontakty Bóg wie z kim i gdzie, może nawet nie na tym świecie, i nieudolnością swą wszystko im popsulem. A jeżeli przez to naraziłem kogo na wielkie niebezpieczeństwo, może zgubiłem, jeśli przeszkodziłem im w dokonaniu wielkiego dzieła, narobiłem galimatjasu i sam się w zasadzkę wciągnąłem, jeżeli wynikło z tego, że koniecznie trzeba mnie usunąć?

— Co ty powiadasz? — zdumiałem się.

— Daj mu spokój, on wie, co mówi! — zmitygował mnie Sanio.

Od dłuższego już czasu słuchał bardzo uważnie, rzadko kiedy się odzywając.

— Jakże to mogli zrobić? — zapytałem.

— Bardzo łatwo! Mieli przecie mój prąd, który rzucałem w przestrzeń, śpiąc w nocy, kiedy przewity najczęściej robią swe hokus-pokus! Po nitce do kłębka — nie tylko wszystkiego się o mnie dowiedzieli, lecz mogli nawet mnie samego wyciągnąć, mnie czy mojego „astrala“. czy jak to się nazywa. Odemnie mogli się dowiedzieć

o oliwkowej starczej twarzy z różowemi oczami, wobec czego weszli z nią w porozumienie — i macie! Zaatakowali mnie!

Więc ta msza czarna odbywa się, a wtem ja słyszę, że to msza żałobna. Śpiewają i „Dies irae“ i „Requiem aeternam“! Ponure głosy huczą, jak w piwnicy, zdaje mi się, że widzę gęste, czarne, drgające fale ich śpiewu, wstrząsające wstęgami owijających je dymów niby z kazielnicy. Celebryje ten piękny tenor-baryton, skupiony, poważny, niewzruszony. Ja patrzę na niego i myślę chwilami: — Jakbym cię huknął w pysk, ty bydlę jedno, błaznie, kabotynie czarny, kretynie magiczny, jakbym cię kopnął, to byś miał czarną mszę, draniu nikiemny, megalomanie! — A on nic, celebryje, cholera, z całą powagą, żadnych ruchów nieprzyzwoitych, nieprzystojnych i ordynarnych — jak się to robi dla szero- rokich mas — nie używa, stara się być, bestja głupia, dostojnym kapłanem Szatana! Niczem innem być nie potrafi, więc czepia się ot! tego i wierzy, jołop, w tego swego Lucypera, bo inaczej w siebie wierzyć by przestał! Adlatusy jego służą mu jako ministranci, a ta jego pinda głupia z czerwoną gębą kuchary też się koło niego kręci! — Jednakże — oni tę mszę odprowadzają, a obrządek jest obrządkiem i zawsze czegoś dopełnia, ma swoje znaczenie — a oni odprowadzają czarną mszę żałobną nademną i odprowadzają ją w mojej obecności, czem ducha we mnie mordowali, przekonani, że go zamordują, co im się zre-

szta nie udało, ale w każdym razie męczyli mnie strasznie i okrutnie.

To ich okrucieństwo, ta obrzędowość w mordowaniu i zimna krew najwięcej mnie oburzyła. Co za chamstwo! Błazen wyobraża sobie, że mnie swemi obrzędami zabije i ośmiela się prezentować mi całą egzekucję, tak powolną i uroczystą, jak w kinie!

Wstręt mnie ogarnął, ale równocześnie i lęk. Nigdy nie wierzyłem w skuteczną potęgę podłości, ale oto w tej ciemnej piwnicy, wypełnionej dymami i fosforycznem lśnieniem, stali ludzie, wierzący w podłość, popełniający ją jak święty obrzęd i modlący się do niej. Podłość wywdzięcza się czasem swym wielbicielom — dla swej osobistej przyjemności. Ostatecznie gubi ich zawsze, ale gdy może ich zadowolić, zadawałając siebie, robi to. Wobec tego ostatecznie ta żmija mogła się zwrócić i przeciw mnie i ugryźć mnie, kto wie, czy nie śmiertelnie...

Wciąż, niby organy, poważnie grało harmonium i brzmiały uroczyste głosy śpiewaków. Ciężko padały na mą duszę przytłaczające swą grozą łacińskie słowa ponu- nych pieśni pogrzebowych. Było to wszystko posępne, grobowe, gdy naraz stało się coś, co obrzędowi temu nadało wyraźnie szatańskie, piekielne piętno.

Oto ni stąd ni zowąd odezwała się harmonja ręczna, ten ordynarny instrument pijanej hołoty ulicznej, orgij marynarskich, zabaw w suterrenach, szynkowniach, tani- nich domach publicznych. Ta harmonja westchnęła na-

przód, zaczerpnęła powietrza, zaskrzeczała a potem zaczęła chichotać, rzeżić i piszczeć z uciechy, jak pijana „maciora“, wyuzdana rajfura, czkawką znacząca sobie takt, a basująca zadkiem. Jakbym widział jej cycki ogromne, przelewające się z boku na bok i tańczące swój własny taniec, podczas gdy zad bezwstydnie podrygiwał obwisłymi, jak wory, pośladkami. Taka była pieśń, która naraz wmięszała się w chorały cmentarne, cyniczna, wyuzdana a lubieżna zarazem muzyka harmonji, na której jeden z gadów-ministrantów grał, rozciągając ją do niemożliwości i wystawiając z ponad niej swą szarą, djabelsko roześmianą i ucieszoną gadzią gębę. A grał, łajdak, ordynarne, sprośne piosenki, w oszalamiającym rytmie, z szatańskim iście humorem i niesłychanym zacięciem. Zdolny był, cholera! I dziwna rzecz! Choć pieśni pogrzebowe są w „moll“ i rytm mają, że tak powiem, powłóczysty, a tonacja tych jego rozpustnych, sprośnych piosenek ulicznych i ludowych, karczemnych, była „dur“, jedno drugiemu nic nie przeszkadzało, tempo piekielnie „prestissimo“ zgadzało się z „largo“ i „ma-estoso“ pieśni kościelnych a kontrapunktycznie rzecz była świetna. Uderzyło mnie to tembardziej, iż zauważyłem, że naogół przewity przeciętnie nie są muzykalne. Mimo wzrastającego z każdą chwilą przerażenia, z satysfakcją i podziwem łapałem od czasu do czasu jakąś niewiarygodną kombinację harmoniczną czy kontrapunktyczną, bo się zdarzały wprost zdumiewające swą bezczelnością a zwycięską śmiałością. Ten hycel grał, żeby go ja-

sny piorun! Ta jego wściekła harmonja brała wszystkie przeszkody bez najmniejszego namysłu, bez wysiłku, z uśmiechem! To było coś nadzwyczajnego! Od tej chwili harmonja ręczna już nie milkła. Stała się głównym a potem jedynym instrumentem muzycznym obrzędu i do końca już stale podkreślała go mocno błotnistoszarym łukiem swych rozwiązłych, zwyrodniałych i plugawych warjacyj.

Nastąpiła krótka chwila przerwy, podczas której kilkakrotnie skropiono mi twarz rosą magiczną. Domyśliłem się, że zbliża się kulminacyjny punkt mej męki.

Zebrałem się w sobie.

Byłem już mocno pod wrażeniem tych wszystkich bezceństw, ale jakoś trzymałem się jeszcze. Wiedziałem, że dzieje się rzecz nikczemna, podła, straszna, obrzydliwa, ale wiedziałem też, że żyję i że mam walczyć. Jednakże wszystko się we mnie trzęsło.

W tej chwili nawinął mi się pod rękę Edwardek, jak zwykle różowy, pachnący — nienawidzę tego! — w czarnym, wieczorowym stroju z białym gorsem, kretynek pretensjonalny, wymuskany, z gładziutko zaczesanymi, hebanowemi włosami. Spostrzegłem, że ujrzawszy mnie, zaniepokoił się, powiedziałbym nawet, że się zląkł. Kiedy mu opowiedziałem w krótkości, co się działo, bardzo się zdziwił.

— Tu żadni muzykanci nie mieszkają! — rzekł

— Może nie mieszkali, ale mieszkają! — odpowiedział.

łem gwałtownie, bo byłem bardzo poirytowany. — Sam ich widziałem przed południem, jak śpiewali na ulicy.

Opowiedziałem mu o Czigiele Tollu i jego tytoniu, o murarzach, którzy się tym produkcjom przysłuchiwali.

— To niemożliwe! — mówił, patrząc na mnie ze zdumieniem.

— Czemu niemożliwe? Nie tylko możliwe, ale mówię ci — sam słyszałem! Prawdopodobnie przyjechali na P. W. K., będą występowali w jakimś kabarecie, albo coś podobnego! I to są z pewnością Małopolanie, z zachodniej Małopolski, gdzieś z pod Wadowic... A może mi powiesz, że w podwórzu na pierwszym piętrze nie mieszka jakaś pani z dwojgiem dzieci?

— Mieszka... Pani Kwiatkowska!

— A! Ty ją znasz! Ach, teraz rozumiem! Teraz wiem, od kogo ona ma informacje o mnie!

— Jakie informacje?

— Prawdziwe i nieprawdziwe! A tych nieprawdzych, tych podejrzeń niskich dostarczono jej mnóstwo i ona wszystkie przekuła na jadowite, oszczercze kuplety, którymi uprzyjemniła mi popołudnie...

— Jak to?

— Wyśpiewywała je na cały głos na podwórzu!

— Niepodobna! Co pan powiesz!?

— Mało tego! Skąd ona ma nie tylko informacje, dotyczące moich spraw osobistych, ale nawet drobne szcze-

góliki, o których nikomu, prócz ciebie, nie opowiadałem?

— Co? Pan mnie podejrzewa?

— Co to znaczy — „podejrzewa“? To są fakty! Wygadałem się przed tobą a ni stąd ni zowąd ona wyśpiewuje na ten temat kuplety! Mieszka w tym samym domu, ty ją znasz — nie wytłumaczysz mi tego dziwnego zbiegu faktów!

Chłopak mało nie płakał ze złości i oburzenia, wma-
wiał we mnie, że mi się to wszystko przywidziało, ale
ja mu przerwałem.

— Jak tylko gdzie wpadnę na jakie świństwo — zawołałem — zaraz „przywidziało się!“. Dobrze jeszcze, że wprost nie mówisz „pijany“! A teraz to bydlę odprawia tam czarną mszę na moją intencję! Co za śmiałość!

— Jaką czarną mszę? — pyta chłopak.

Powiedziałem mu, co jest.

Siedział bezradny na kanapie i rozglądał się przerażony. Nagle zerwał się, podbiegł do manekina i wyniósł go do przedpokoju.

— Ach, „małpa“! — wykrzyknąłem. — Głupcze! Co dziś znaczy „małpa“! Mebel, głupie, martwe drewno! Dziś są żywe prewity! Słyszysz? Już znowu śpiewają!

Istotnie! Z podziemi znowu dolatywał śpiew. Skupione w „unisonie“ głosy śpiewały Suplikacje. Poważnie, uroczyście szumiały akordy harmonium. A równocześnie ryczała i piszczała ze śmiechu bezwstydnie rozłajda-

czona harmonja ręczna. Słów z początku nie było sły-
chać.

— Mordy bym im porozbijał! — krzychałem. — Ale
jak ich znaleźć! Słyszysz, Edward!

Coś mówił. Nie rozumiałem. Ręką dawałem mu wciąż
znaki, żeby milczał.

Głosy stawały się coraz donośniejsze, nieubłagane już,
nielitościwie surowe, niecofnione, pewne swej siły. Usły-
szałem i zrozumiałem wówczas kilka okrutnych słów.
Były one tak straszne, że kiedy doszły do mnie, zachwia-
łem się i zatoczyłem. Trafily mnie te zatrute strzały!
Czekajcie, pamiętam dwie zwrotki, zaśpiewam je wam:

Tu Grubas zaczął śpiewać zcicha wzruszonym, łago-
dnym tenorem:

O, An-too-ni!

Dzwon ci dzwo-o-oni,

Że długo ży-wy bę-dziesz gnił,

Że zgni-ły dłu-go bę-dziesz żył!

— Potworne! — mruknąłem.

A Grubas śpiewał dalej:

O, An-to-o-ni!

Zgon cię go-o-ni!

A kiedy już pole-żysz czas swój w gro-bie,

Wyt-kniesz zeń u-schle dłonie o-bie!

— Jak ty się strasznie musiałeś męczyć! — wyszeptał
Sanio z współczuciem.

— Tak! — jęknął Chińczyk.

— Czekajcie! — mówił niecierpliwie Grubas. — Tam
jeszcze coś było! Aha!

Przechodniu! Spluń i żywo uchodź stąd,
by na cię nie padł jadowity trąd!

— Macie! A przez cały czas harmonja ręczna rechota-
ła jak szalona, kwicząc, rżąc z radości, rycząc basem, pi-
szcząc wiolinem, plując bezecnemi, zaślinionemi świń-
stwami.

— Słyszysz! Słyszysz! — wołam do Edwardka.

Czy on co słyszał, czy nie, tego dziś z całą pewnością
twierdzić nie mogę —

— Coby tam słyszał! — mruknął Sanio. — To była
halucynacja! Nie ulega najmniejszej wątpliwości!

— No, no! Ja tak muszę powiedzieć, bo nie mogę
inaczej! — mówił Grubas dalej. — Ale ty nie bądź znów
taki pewny swego!

Tam w podziemiach śpiewano jeszcze dużo i długo,
ale już nie wiem co. Nie mogłem słuchać. Kiedy te cie-
mne typy zaczęły odmawiać ohydą, przerażającą jakąś
litanję przekleństw, od których włosy stanęły mi na gło-
wie i zimno, dosłownie zimno mi się zrobiło tak, że
gęsiej skórki dostałem, straciłem panowanie nad sobą.
Jęcząc zcicha i zaciskając z całej siły pięści, czasem szar-
piąc się za włosy, szamotałem się i biegałem po pokoju
i po całym korytarzu.

— To była napewno halucynacja! — krzyknął nagle Sanio, widocznie zdenerwowany.

— Tak! — trwożnie bąknął Chińczyk.

— Mój Ty, Boże! — westchnął Grubas. — Moja matka była bardzo nerwowa i szalenie się czasem niepokoiła — o lada głupstwo, na przykład gdy któryś z nas zwał jej nie wiadomo dokąd, ojciec zasiedział się gdzieś na mieście albo coś podobnego... Przypominam sobie jej słowa: — Ty wiesz, jak ja się strasznie niepokoję! — Wiedzieć wiedziałem, ale wówczas jeszcze nie rozumiałem tego, widziałem tylko, jak, biedactwo, bosa, w szlafroku na nocnej koszuli, latała po pokojach drobnym kroczkiem z rozwianemi, gęstemi, ciemnymi włosami, jak je w biegu małą swą rączką odgarniała ze skroni na tył głowy, jak ręce z niepokoju i trwogi załamywała i jęcząc „Boże! Boże!“, miejsca sobie znaleźć nie mogła. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak strasznie bolesną musi być trwoga, która nią tak rzuca z kąta w kąt. A teraz ja sam, bosy, w jednej tylko koszuli, biegałem tak napół przytomny ze strachu i niepokoju, udręczony do niemożliwości, ponad wszelki wyraz duchowo skatowany. O, kto tej męki sam na sobie nie doświadczył, kto tej męki nie przeżył, ten nigdy nie pojmie, jakie to są okropne cierpienia. Lepsza śmierć! Sto razy lepsza!

To też ja jej szukałem, z czego sobie nawet sprawy nie zdawałem. Ścigany przez straszliwą muzykę wszędzie, w każdym kącie, szalałem — już. W pewnej chwili wyskoczyłem na okno i chciałem tak, wprost, przez powie-

trze, iść do jamy tych gadów i wydusić ich. Nie miałem łem świadomego zamiaru zabić się, chciałem tylko iść przez powietrze! Byłem wówczas pewny, że to możliwe. Oto czego chciały prewity, i co było ich celem, a co wogóle jest zawsze celem każdego opętania: Doprowadzić swą ofiarę do samobójstwa. To jest im najmiłsze! Prewity nienawidzą życia!

— Tak! — skwapliwie przyznał Chińczyk.

Ściągnął mnie z okna Edwardek. Wtedy ja, widząc i rozumiejąc już, że jestem bliski obłędu, zacząłem się gorąco modlić. Przyzywałem na pomoc Anioła Stróża —

— Ty wierzysz w Anioła Stróża, Gruby! — wykrzyknął Sanio. — Nigdy-bym nie był przypuszczał, że jesteś takim dzieckiem.

— Gadaj sobie zdrów! — rzucił mu Grubas niecierpliwie. — Ja w niego nie tylko wierzę, ale ja się kilka razy przekonał, że on jest, oczy jego widział, głos słyszał — jak tu żywy stoję, jak mnie tu widzisz! To było w ciężkich chwilach!

— A trzeźwy wtedy byłeś? — zapytałem.

— Zupełnie trzeźwy! Jak nowo narodzone dziecko.

— Jakże to było? — pytał Sanio.

— Kiedyindziej wam opowiem. — Wreszcie, nie wiem już jakim cudem, Edwardek wpakował mnie do łóżka. Wiem tylko, że nagle spostrzegłem, iż leżę w łóżku i oparty na łokciu, z poduszkami pod pachą, słucham. Nieopisanie upiorna antyfony wreszcie ucichła. Dysząc ciężko, spracowany i cały mokry, leżałem, czekając, co

dalej będzie. Edwardek siedział na leżance i płakał. Biedny chłopak namęczył się ze mną tej nocy! No! On nie był zły, tylko młody a zanedo sprytny. To nie zawsze dobrze. Ale i temu on nie winien. Zresztą — mniejsza z tem!

— Lepiej panu? — zapytał, zauważywszy, że leżą spokojnie. — Czemu pan tak nadśluchuje?

— Oni tam znowu zaczynają śpiewać!

— Niech pan nie słucha!

— Cicho! — przerwałem mu. — Cicho! Słuchaj!

Na podwórzu rozległ się znowu ten przenikliwy, przeciągły, wysoki gwizd.

Wpatrywałem się w twarz chłopca.

— Słyszysz?

— Cóż wielkiego! Ktoś gwizdże — na psa, może na dziewczynę...

— Więc słyszysz? Widzisz! Widzisz, że mi się nie здаje! Gwizdże! Po drugiej on gwizdże... na psa czy na dziewczynę!... Haha!

Edwardek wyskoczył na okno i przez chwilę wpatrywał się w ciemności na podwórzu.

— No, co? Jest kto?

— Nie widzę nikogo!

Mruknął pod nosem jakieś przekleństwo niemieckie i zaczął zamykać okna.

— To nic nie pomoże! — mówiłem. — Górne okna i tak musisz zostawić otwarte, bo byśmy się tu podusili! Gwizdanie na podwórzu umilkło.

— Przestał gwizdać, słyszysz?

— Tak! Przestał! — doleciał mnie z góry głos Edwardeka.

— Teraz przyjdzie trzeci akt przedstawienia. Ciekawy jestem, co te dranie jeszcze wymyślą! Zmęczony jestem strasznie, ale może przecie wytrzymam. Co to?

Coś mi upadło na poduszkę.

— Szpilka! Szpilkami kłuć mnie teraz będą!

— Gdzie? Jaka szpilka? — wołał Edwardek, zeskakując z okna.

— Tu! Patrz! Leży na poduszce! Zgóry na poduszkę mi spadła! Widzisz? Co to ma znaczyć? Szpilkami teraz kłuć mnie będą?

— Panie! To pewnie gospodyni kiedyś szpilką firanki spięła i potem ta szpilka tam została! A teraz wiatr ruszył firankami i szpilka spadła.

Edwardek mówił to z płaczem. Biedak sam ledwo żył ze strachu a tu jeszcze ja go płoszyłem.

— Tak! — wołałem z okrutnem szyderstwem. — Wiem o tem, że zgóry spadła, słyszałem i musiała ausgerechnet spaść na moje łóżko i ausgerechnet na poduszkę, żebym ją widział!

Edwardek złapał szpilkę, złamał ją i rzucił w kąt.

A w tej chwili na twarzy, na karku, na skroniach, na czole i na rękach uczułem delikatne ukłucia niezliczonych, drobnych szpileczek.

— Kłują mnie! — krzyknąłem. — W twarz, w kark, w ręce! Kłują mnie szpilkami!

— Panie! Panie! — jęczał Edwardek, dygocąc ze strachu.

A ja się też trząsłem cały.

Był to nowy paroksyzm. Łatwo zrozumieć, że ja już byłem moralnie bardzo osłabiony, nie dziwnego, że znacznie silniej reagowałem. A było na co reagować.

Naprzód dało się słyszeć jakieś stukanie.

— Dokąd? Do drzwi? — spytałem Grubego.

— Nie. To było stukanie, jak gdyby ktoś wbijał coś w jakąś pękę czy skrzynię. Suche, urywane stukanie, kilkakrotne uderzenie młotkiem, pauza i znowu kilka rytmicznych uderzeń, rzekłby kto, że młotek przechodził z rąk do rąk. Z początku nie wiedziałem, co by to mogło znaczyć, aż wreszcie domyśliłem się i natychmiast zobaczyłem.

Tam, na dole, przy dźwiękach wyuzdanej harmonji ręcznej, wbijano gwoździe w moją trumnę!

POGRZEB.

— Aech! — zatrzęsł się Sanio.

Grubas mówił, zapatrzony przed siebie.

— Widziałem ich przy tej robocie. Piwnica była dość obszerna, w głębi jej znajdowała się nisza z kilku schodkami kamiennymi i czerwonawymi, zardzewiałymi drzwiami w szarych ścianach. Sklepienie nie było ani zbyt piwniczne, ani zbyt niskie. Ciemności były jak gdyby sztuczne, w jakiś sposób utrzymane w pewnym tonie, tak, aby było coś widać. Koloryt obrazu szaro-czarny, rysunek niepewny, widać tylko niewyraźne, czarne plamy-cienie. Po lewej stronie drzwi, w kącie, rozmazany, czarny kształt harmonium z widoczną wyraźnie białoczną klawjaturą. Wystarczy sama klawjatura a dokoła niej na szarem tle czarny cień. W środku stół — wszystko jedno, jaki, ja widzę tylko płaszczyznę jego blatu, po którym pełzają fosforyczne plamy świetlne, a pośrodku czarną trumienkę, niewielką. Dokoła stołu stoją oni — w środku piękny tenor-baryton, wyprostowany, z twarzą nieruchomą, bladą — pracuje drań rzetelnie! — ale niewzruszenie spokojną. Obok niego le-

dwo widzę napół szaro jednego gada z prawej strony a zupełnie wyraźnie kobietę z lewej. Kobieta nie jest już w popielatej bluzce. Ma na sobie krótką, do kolan, spódniczkę z czarnej tafty i białą, muślinową bluzkę, jej ciemne włosy, bujne, rozstrzepane są a la Steinlen do koła białej twarzy z czarnymi oczodołami i ustami. Przypomina „apaszkę“. Przy niej jest dziecko. Dalej po prawej stronie, w lewym, dolnym kącie obrazu, powiedzmy, drugi gad, na szaro z karykaturalnym profilem, rohi prysiudy, roześmiany, uszczęśliwiony, i gra tak, że rozciąga harmonję w długi łuk.

Piękny tenor-baryton, celebrujący obrzęd, trzyma w lewej ręce gwoźdź, w prawej młotek. Młotkiem tym wbija gwoźdź w trumienkę. Raz-dwa-trzy! Raz-dwa-trzy! Za każdym uderzeniem tryska z trumienki sinozielonawy płomyk. Wbiwszy gwoźdź, podaje młotek jednemu gadowi, drugiemu. Młotek stuka, trumienka huczy głucho, a prewity śpiewają wciąż. Ostatni gwoźdź wbija kobieta — nie, nie ostatni! Dziecko! Teraz dziecko! Kobieta wkłada dziecku gwoźdź w paluszki, przykłada jego rączkę z gwoździem do wieka trumny i zachęca je, aby go wbiło. Dziecko podnosi główkę i pytająco patrzy na matkę, która uśmiecha się do niego czule, słodko i kiwa mu głową, jakby mówiąc: — Wbij gwoźdź w trumnę, dziecineczko, wbij! O, tak, tak, tak dobrze, jeszcze, jeszcze! — A gdy dziecko gwoźdź w wieko trumny wbiło, matka głaszcze je po głowinie i chwali: — Grzeczna, grzeczna dziecinka, wbiła gwoźdź w tru-

mnę, wbiła, ładna, grzeczna dziewczynka, moja! — Dobra nie ostatnie, tfu!

Grubas zatrząsł się i splunął z obrzydzeniem.

— Zacząłem się pnieć! — opowiadał po chwili dalej. — Wyprowadziło mnie z równowagi to okrucieństwo. Zabić człowieka, choćby żywcem ze skóry obłupić — no, to okrucieństwo, ale wreszcie... Zdarzało się... Jednak kłaść mnie do trumny w moich własnych oczach, zużyć tyle sił — bo nawet z punktu widzenia magji to „Kunststueck“, „Leistung“ nielada! — na takie świństwo, na taką potworność — no! Tego się nie spodziewałem.

I wtedy piękny tenor-baryton wziął trumienkę pod pachę i z całym towarzystwem skierował się ku wyjściu.

Którędy i jak wychodzili, którędy szli — nie wiem, nie widziałem. Ujrzałem ich nagle na owej, widnej z mojego okna łące, na tem pastwisku czy błoniu burozielonem. Teraz ono, oczywiście, zielone nie było. Leżała na niem noc, ale niezupełnie ciemna. W głębokim zmroku widać było coś w rodzaju niby drogi, jaśniejszej, szerokiej smugi, wyjeżdżonej przez wozy, szukające krótszej drogi na przełaj. Tą drogą szła teraz czwórka prewitów — w środku piękny tenor-baryton z trumienką pod pachą, obok niego gad z harmonją i ta kobieta, po lewej stronie bruneta drugi szary gad. Gad z harmonją grał, a oni wszyscy, trzymając się o ile możliwości pod ręce, maszerowali żywo, na cały głos śpiewając „Gdzieżeś ty była, Dorotko“, przyczem gęby mieli

niezmiernie ucieszone. Mimo że tam, w tej jakiejś piwnicy czy w podziemiu nikt im nie przeszkadzał, widać było, że tu, w polu, oko w oko z ciemną nocą, czują się zupełnie dobrze i nareszcie są nieskrępowani, że tu już mogą sobie pofolgować. Szli tak, zdawało mi się, jak gdyby ku jakiejś rzece.

Ale rzeki żadnej nie było. I owszem, gdzieś dalej musiała być, prawdopodobnie była, oni jednak zatrzymali się w szczerem polu, nie wyglądającym jednak bynajmniej ani na pole uprawne, ani nawet na łąkę, lecz co najwyżej na odległe pastwisko. Tu stanęli i zaczęli kopać grób, wciąż śpiewając, wydzierając się jakby rozmyślnie, jak na urągowisko, niemożliwie fałszywie i przygrywając na harmonji. Gad, który kopał grób, trzymał w gębie zapaloną fajkę i od czasu do czasu okadzał nią trumienkę, spluwając na nią przez zęby. Gdy już grób był gotowy, zeszli się wszyscy we czworo i ze wstrętem końcami butów zepchnęli ją w tę świeżo wykopaną jamkę. Wtedy piękny brunet podniósł z ziemi drewniany, zaostrzony kół i siekierę i podał kobiecie, kobieta obuchem siekiery zaczęła wbijać ostry kół w wieko trumny, w serce...

— Tak! — szepnąłem. — Osinowy kół! Aby upiór pochowanego nie straszyl po śmierci. Znana rzecz!

— Tymczasem gady tańczyły dokoła niej, wielce uszczęśliwione. Kół pogrążał się w trumience, a kobieta z zaciśniętymi zębami wbijała go i wbijała coraz głębiej, zaciekle, mściwie, że siekiera tylko migiała w po-

wietrze. Na mgnienie oka kół zatrzymał się na mem sercu. Czułem to. I ona też poczuła, zawahała się chwileczkę, aby sił nabrać, wierzchem dłoni pot z czoła starła, a potem jak się nie zamachnie, jak nie huknie obuchem w kół! Tępy, głuchy ból przeszył me serce tak, że straciłem przytomność i tylko niewyraźnie w głowie huczało mi „łup-łup! łup-łup!“.

Kiedy znowu przewidziałem, nad moją trumną wznosiła się już niewielka, szara mogiłka. Prewity stały nad nią i z nabożnemi minami i głowami, niby smutno, żalobnie opuszczonemi na piersi, śpiewały czy raczej wyły urągliwie jakieś pieśni.

Mnie już było wszystko jedno. Przestało mi na czemkolwiek zależeć, zdawało mi się, że przestałem istnieć. Czarniawe fale zmroku kołysały się i chwiały, dokoła mnie nie widać było nic, prócz malej, szarej, oplwanej mogiłki na pustkowiu. Gorycz nieopisana zalewała mi serce. Zniknęła nawet rozmaitość mąk wymyślnych, pozostała tylko monotonja cierpienia.

Ale ta szara mogiłka to jeszcze było coś mogące świadczyć o dawnem mojem istnieniu. Może jeszcze trawka jaka na niej-by odrosła, a z trawki ja-bym się odrodził i wróciłbym, jako mściciel? Może na widok tej mogiłki, choć nie większej od kretowiska, ktoś mógłby się w duchu zapytać, czy to przypadkiem nie grób i kto też w nim leży — a z samej tej myśli ja mógłbym zmar twychwstać? Może nadeptała by na nią krowa lub pastuchy rozpałyby przy niej ogień, a ja bym wówczas

pod ziemią jęknął i oni zlekli-by się, powiedzieliby, że tu straszy i postawiono by nad nią mogiłą krzyż a pustkowie pokropiono by święconą wodą? Lub może przechodzień jaki zaniósł-by z niej na obcasie buta grudkę prochu do swego domu, a ja przyśniłbym mu się w nocy, i opowiedziałbym mu wszystko, jak było i co się stało, a on dalby na mszę za spokój duszy mojej? Prewity nie chciały, aby po mnie jakikolwiek ślad pozostał, i dlatego, wzięwszy się za ręce, zrobiły koło i zaśpiewawszy pieśń wesolą, zaczęły na mym grobie tańczyć.

Tańczyli kołem, raz w jedną stronę, to znów w drugą, z wyskakiwaniem dziwaczmem, przytupywaniem a zawsze tak, że od czasu do czasu ktoś tańczył na mojej mogiłce i udeptywał na niej ziemię. Toż oni po tej mogile z radością skakali, toż ją roznosili obcasami, rozdeptywali, jakby mnie samego rozdeptać chcieli. A śpiewali przytem pieśni weselne lub rozmaite krakowiaki, a najczęściej krakowiaka, którego zwykle muzyka grała, gdy wesela chłopskie koło mojego domu swego czasu na wsi przejeżdżały.

Wkońcu rozdeptali ją mogiłą do niepoznaki. Wtedy ona, ta kobieta, zwróciła się do pięknego barytona i coś mu powiedziała. Zrozumiałem co. Jemu wtedy w twarzy ziemistej zapadły się w czarne jamy oczy, i usta poczerniały z żądzы niezdrowej i oboje legli na miejscu, gdzie znajdowała się przed chwilą moja mogiła i tam ona mu się oddała z rozkoszą, myśląc o hańbie mojej. A czuła tak wielką rozkosz, że ją z niej serce mocno za-

bolało i zrobiło się jej mdło. Ale jak tylko wstali, ona podniosła krótką spódniczkę z czarnej tafty tak wysoko, że aż z pod niej jej białe uda błysnęły, przykucnęła i zbezczeszczyła to miejsce swą wodą. Potem wszyscy wzięli się pod ręce i znów grając i śpiewając, ruszyli z powrotem przez pola.

Gdyśmy odchodzili — bo niewytłumaczonym sposobem ja mimo wszystko do pewnego stopnia wciąż istniałem — oglądałem się. Od niewidzialnej rzeki w głębi ciągnął chłód poranny a ponury zmrok nie był już taki gęsty. Szarzał nowy dzień. I w tej ciemnej szarości widać było pastwisko puste jak szmatę szarą, atramentem naciągniętą — i nic...

— Krowy przyjdą i będą tu krótką trawkę skubać i żując ją, będą się gapić przed siebie, ogonami zafajdaniem od much się oganiając, a muszki drobne tuczyć się będą na ich pasztetach... no, i tyle!...

Ocknąłem się znów w swoim łóżku, zmordowany, wyčerpany, zadyszany.

— Panie! Panie! Niech się pan raz uspokoi! — zaklinał mnie Edwardek.

— Oni już idą... Wracają!... Ja przed nimi przybiegłem prędej... Pobiegłem naprzód, żeby być... O, słyszysz, jak wesoło śpiewają? Ścierwa! Ścierwa!

Zacząłem się więc na łóżku.

— Nie dadzą mi spokoju! — charczałem. — Boże! Boże! Boże! Co za bydło! Słyszysz? Idą! Drą się na cały głos!

Rzucałem się, rwałem się ku oknu. Z trudem udawało się chłopcu zatrzymać mnie, póki nagle nie zabrzmiały znane mi, urywane makabrystyczne akordy.

— Co takiego? — zacząłem sobie przypominać. — Co to?

Akordy podskakiwały ciężko, niezdarnie a potem roztańczyły się wyjąco-klekocącym kołem z ostro wystukiwanym rytmem, jak gdyby do taktu suchemi patykami uderzano. I znowu grało harmonjum z akompanjamentem harmonji ręcznej i tego suchego, rytmicznego trzaskania.

— Co? Co ta-kie-go? „Danse Macabre?“ Tem mnie chcecie przestraszyć?

Oburzyłem się.

— Błazny głupie! — wołałem. — Chamy! Saint-Saënsa na mnie chcecie wypuścić, muzyką myślicie mnie szczuć? Bydło! Co za bydło! Kijami stukają i myślą, że ja się tego zleknię, że będę myślał, że to kości szkieletów tak trzeszczą! Ja mam się szkieletów zleknać? Idjoci! Zaraz poznać, że jesteście głupie chamy bez kultury! To można grać szwaczkom przy podwieczorku i żadna się nie zleknie, póki się jej nie powie, że to „Taniec Szkieletów“! Bałwany! Kabotyny! Dudki prowincjonalne! Naturalnie, cóż się dziwić! Byliście i będziecie zawsze ordynarnymi, zbrodniczymi oszustami, satanisty parszywe! Cóż się dziwić! Jaki pan, taki kram!

Kląłem i wyzywałem tę całą trupe od ostatnich.

Tu Grubas powiódł po nas roześmianymi oczami.

— I pomyśleć — co to znaczy próżność wykształconego inteligenta! — rzekł. — Jak długo robili nademną te swoje paskudne czary, brałem wszystko na serjo, choć to była ohyda ohydissima, ale gdy tylko spróbowali nabrać mnie na sztukę, oburzyłem się na nich, obraziłem i postawiłem się im sztorcem. Tak.

— Grubas odetchnął głęboko.

— Tak! — powtórzył Chińczyk.

— Na tem się skończyło? — zapytałem.

— Nie. Na zakończenie sprezentowali mi jeszcze pianie kogucie, po tem szpilka spadła mi na poduszkę.

— Nie łiesz?

— Nie. Widziałem ją i miałem w rękach i ja i Edward. Chłopiec się jej nawet więcej zląkł niż ja, bo tym razem to on uwierzył. I klucie szpilkami też było, tylko że ja już tak byłem przemęczony, że niewiele sobie z tego robiłem. Rzuciłem im jedno-drugie mocne słowo, zapaliłem papierosa i w chwilę później zasnąłem. A był już biały dzień. Edward zasnął też na leżance.

Na drugi dzień miałem spokój, byłem tylko bardzo zmęczony, tak zmęczony, że nawet myśleć nie mogłem. W nocy, jakoś między dwunastą a pierwszą, przewity znow zaczęły śpiewać Suplikacje, ale „murmurando“, już bez słów, jak gdyby tylko dla przypomnienia mi.

Nadszedł Edward. Zasłuchany leżałem nieruchomo i nawet nie zwróciłem na niego uwagi, gdy wszedł.

Stanąwszy przy mem łóżku słuchał przez chwilę.

— Słyszysz pan co? — zapytał.

Nie odpowiedziałem, a tylko patrzyłem mu w oczy.

— Ja nie słyszę nic.

Milczałem.

— Ale to zupełnie nic! — rzekł.

— Nie kłam! — odezwałem się, patrząc mu wciąż w oczy.

W tej chwili znowu dało się słyszeć stukanie — nihy to znów wbijanie gwoździ w trumnę — też dla przypomnienia. Słyszałem zupełnie wyraźnie, ale nie odzywałem się.

Edwardek uśmiechnął się blado.

— Po lewej stronie podwórza — zaczął — w sąsiedztwie budują werandę. Wszystkim zależy na pośpiechu, bo P. W. K. już otwarta. Biedny robotnik dla pośpiechu w nocy coś przybija —

— Nawet po północy! — wtrąciłem.

— A pan pewnie myśli, że on panu gwoździe w trumnę wbija.

— Ty powiedziałeś! — rzekłem. — Więc ty także słyszysz?! I słyszałeś wczoraj! I słyszałeś, jak śpiewali.

Edwardek zląkł się.

— Nie! Nie! Nie! — zaprzeczył żywo i gwałtownie. — Nic nie słyszałem! Przysięgam panie, że nie!

Wyskoczył na krzesło, i zaczął czemprowadzej zamykać okna na górze.

— Przysięgasz? No to wiedz-że, że ci nie wierzę.

Ale nie wypytywałem go już więcej o nic. Wiedziałem, że się niczego od niego nie dowiem.

No i koniec.

Grubas umilkł, zapalił papierosa i zaczął sobie przyrządzać koniak z cytryną i cukrem.

— No, tak! — odezwałem się i umilkłem.

— Taaak! — potwierdził w zamyśleniu Sanio.

— A jak się to skończyło? — zapytałem.

ZAKOŃCZENIE.

Szeroka twarz Grubasa rozjaśniła się.

— Prewity zostały pobite na łeb! — oświadczył, uśmiechając się na wspomnienie zwycięstwa. — Wkrótce po ich gościnnym występie przyjechała z wycieczką szkolną do Poznania moja córeczka. Duża, mądra pannica. Rozumie się, odwiedziła mnie. Powiadam wam — sam jej widok przywrócił mi zdrowie, to jest — moralne zdrowie, bo zresztą byłem wprost wycieńczony. Wraz z nią życie się znowu do mnie uśmiechnęło, czułem, że jeszcze koniec mój nie przyszedł, że jeszcze nie czas na śpiewanie „Requiem“ nad moją trumną. Swoją drogą, tak — ot! zwierzyłem się jej, że mnie trapią bardzo przykre sny i że przez nie jestem chory.

Uśmiechnęła się, machnęła lekceważąco rączką i powiedziała:

— Ja tatusiowi dam na to doskonale lekarstwo. Niech tatuś poczeka.

Wyszła i po paru minutach przyniosła mi kawałek papieru, zapisanego swem dziecinnem pismem.

— Niech tatuś włoży to pod poduszkę — mówiła,

podając mi karteczkę — a żadne przykre sny nie będą tatusia męczyć.

Było to „Pod Twoją obronę“, własnoręcznie przez dziecko napisane. Morowiec-dziewczyną, moje kochanie słodkie!

Włożył ja ten talizman pod poduszkę — opowiadał dalej Grubas a nasek mu poczerwieniał — i jak ręką odjął — spokój! Żadnych gwizdań, żadnych śpiewów, niema nic! Spałem doskonale, bez snów, przywidzeń, i nic mnie już nie męczyło. Prewity zwały. Pomogło mi dziecko serdeczne! Niech jej Bóg da zdrowie!

— Tak.

— Ta napijcie się czego, jak Boga kocham! — zapraszał Grubas. — Mnie się z tego opowiadania jeść zachciało. Chcecie, zawołam Syfilidę i każę jej jajecznicę zrobić. Z dwudziestu jaj będzie chyba dość!

— Tak! — skwapliwie przybił Chińczyk.

— Od tego czasu — jak nożem uciął! Ani nawet nie myślę o tem! Stare śmieci wypaliły się, dym po nich wiatry rozwiały, dziecko jednym swym uśmiechem na nowo rozpałiło we mnie światło — daj jej Boże zdrowie, serdecznej! — i wszystko dobrze. Ale to ciekawe, co? Taka czarna msza! A żeby ich pioruny! Dali mi szkołę! Ale czasem to ja sobie myślę, że żebym pił dalej, kto wie, może bym się ciekawych rezultatów dopił... Ta jak Boga kocham! Taka wycieczka w nieznany świat może być bardzo ciekawa...

— Jakby to dobrze to uzupełnić — zbudził się naraz

z zamyślenia Sanio — mógłby z tego być wcale niezły film. To ciekawe! — zwrócił się naraz do mnie. — Czy ty nie widzisz, że w całej kompozycji jego halucynacji —

— Co ty wygadujesz! — krzyknąłem przerażony. — Kompozycja halucynacji! Słyszał kto coś podobnego?

— No, ktoś przecie skomponować to musiał! Wiem, że nie Grubas, ale ktoś — przypadek, choroba. —

— Djabeł! — przerwałem ironicznie.

— A choćby nawet wszyscy djable, ale jakiś autor musiał być! To jest zupełnie wyraźnie kompozycja, w której ślepy tylko nie dostrzegłby wpływów ekranu. —

— Proszę, powiedz: — Dziesiątej Muzy! To takie dowcipne!

— A, co mi tam! Nie piszę artykułu. Ale wiesz co? Warto-by napisać feljeton o wpływie kinematografu na charakter halucynacji... Ja go tu zupełnie dokładnie widzę... Dać mu tytuł „Czarci...“.

— Pewnie, pewnie! Rozumie się! — potwierdziłem.

Ja sam wolałem napisać romanetto. Niech je sobie Sanio przerabia na film. Ale teraz Czytelnik zrozumie i wybaczy, że Grubas wyraża się w mem opowiadaniu czasem trochę zanadto po literacku. Zresztą wszystko jest prawdziwe.

KONIEC.

POLSKIE POWIEŚCI „R O J U”

<i>Baczyński</i> : Losy romansu	4.80
<i>Bandrowski Jerzy</i> : Po tęczowej obręczy (wyczerp.)	
— Czarci (Czarne Romanetto)	
— Widzenie Wokandy (Białe Romanetto)	
<i>Belmont Leo</i> : Przeznaczenie (wyczerp.)	
— Niepotrzebny człowiek	2.50
<i>Berski Józef</i> : Sacha	5.—
<i>Boy-Żeleński</i> : Bronzownicy	7.—
— Flirt z Melpomeną w. IX	7.—
— Marzenie i pysk	7.—
— Słowa grube i cienkie	7.—
<i>Brzęczkowski</i> : Asza	4.80
— Ludzie legendy	6.50
<i>Czapliński</i> : Pani Balbina i S-ka	0.95
<i>Doliński</i> : Duch czasu	3.50
<i>Dromlewicz Zofja</i> : Pod banderą miłości	2.—
<i>Dzierzbicki</i> : Kapitan Djabeł	1.45
— Kokaina	1.95
<i>Dzikowski</i> : Dziewczyna z szaremi oczami (II wyd.)	3.—
<i>Ejsmond</i> : Sztuka kochania (wyd. alb.)	15.—
— Sztuka wymyślania	4.80
<i>German Juljusz</i> : Gwiazdzista noc	8.—
— Usta o zmroku	4.50
— Historje o pajacach	6.—
— W gospodzie pod trzema zbójami	6.—
— Jacek	8.—
— Jackowa dola	10.—

<i>Gliński: Bajarz polski (karton)</i>	12.50
<i>Grom: Tajemnica jaskini gry w Zoppot</i>	1.95
<i>Grossek-Korycka: Serce</i>	1.95
<i>Jasiński Brunon: Palę Paryż (wyczerpane)</i>	
<i>Kaden-Bandrowski: Łuk (II wyd.)</i>	8.—
<i>Karchowska Hanna: Minorowa ballada</i>	
<i>Kisielewski Zygmunt: Porcelanowe oczy</i>	5.—
<i>Kretowicz: O czym szumi Dewajtis</i>	5.—
<i>Krzewiński: Baletnica</i>	5.—
— Szampańskie życie	5.—
— Jadzka Dryndziarka (w druku)	
— Ulice i zaułki (w druku)	
<i>Kurnatowski: Epopeja bandycka</i>	
<i>Limprechtówna: Gwiazda w kałuży (wyczerp.)</i>	
<i>Lepecki M. B.: W selwasach Paragwaju</i>	1.25
— Oceanem, rzeką, lądem	5.—
<i>Marczyński: Czarna pani</i>	6.—
— W podziemiach Kartaginy	6.—
— Świat w płomieniach (wyczerp.)	
— Pieczęć z antylopy	6.—
— Niewolnice z Long Island	6.—
— Przeklęty statek	6.—
— Księżę Wa-Tunga	6.—
— Ostatnia Torpeda	6.—
— Aloha	6.—
— Missisipi	6.—
— Dolores del Monasterio	6.—
— Siostra Carmen	6.—
— Szlakiem hańby	2.—
— Straszna noc	2.—
— Łódź nad oceanem	8.—
— Czarny ląd	8.—
— Gdy bestja budzi się	9.—

<i>Marczyński: Biała trucizna (w druku)</i>	
<i>Marion: Władca</i>	5.—
<i>Meissner Janusz: Eskadra (wyczerp.)</i>	
— 4300 km.	7.—
— Szkoła orląt	7.—
<i>Meisnerówna: Wielkie święto</i>	2.—
<i>Melcer-Rutkowska: Narzeczona z Angory</i>	1.45
<i>Miciński Tadeusz: Wita</i>	6.—
<i>Mittelstaedt Marja: Tańczące siostry (wyczerp.)</i>	
— Trzy panny służebne	6.—
<i>Mniszek: Magnesy serc</i>	
<i>Newada Jan: Pomyłki Józefa Zbrowskiego</i>	6.—
<i>Olszakowski-Junosza: Grobowiec w Benihassan</i>	1.45
<i>Orski: Sidła miłości (w druku)</i>	
<i>Ossendowski F. A.: Cień ponurego Wschodu</i>	
<i>Perzyński: Pralnia sumienia</i>	
<i>Poker Jim: Wyspa węży</i>	1.45
— Strażnik Krakatoa	1.95
— Trójkolorowa bandera	1.95
— Oczy Malajki	5.—
— Błękitni Rycerze	
<i>Romański M.: Miss o szkarłatnem spojrzeniu</i>	2.—
<i>Romin: 9²⁵</i>	1.95
<i>Romer-Ochenkowska: Tutejsi</i>	
<i>Rudkowski Władysław: Lu tańczy</i>	6.—
<i>Sieroszewski: Miłość Samuraja (II wyd.)</i>	5.—
— Wilk żelazny	
— Bajki	
<i>Stawiński: Biały piórpusz (wyczerp.)</i>	
<i>Stonimski: Oko w oko (wyd. alb.)</i>	35.—
<i>Staśko Paweł: Jej wiosna (wyczerp.)</i>	
— Jasnowłosa piratka	1.45
— Rekin w kajucie	2.—

<i>Strumph-Wojtkiewicz: Skorpion i dziewczyna</i>	3.20
<i>Szwadzi Kwiryn: Szalona miłość</i>	5.—
<i>Szarecki Jerzy: Na pokładzie „Lwowa”</i>	6.—
— Czapka topielca	
<i>Ewa Szelbudg-Zarembina: Chusta Sw. Weroniki</i>	7.—
<i>Szpyrkówna: Gwiazda Lucifera</i>	7.—
<i>Sztekker: W potrójnym nelsonie</i>	2.50
<i>Szuchowa: Gospodarstwo Madzi</i>	3.80
— Tajemnice motyli	
<i>Śliwina: Szatan w świątyni (wyczerp.)</i>	
— Demon świata (wyczerp.)	
<i>Wańkowicz: Strzępy epopei</i>	1.80
— Szpital w Cichiniczach	0.95
— W kościołach Meksyku	1.95
<i>Winawer: Dług honorowy</i>	6.—
<i>Wodzinowski: Jak kupić i założyć radjo</i>	0.50
<i>Zaniewicki: Zielone piekło</i>	4.80
<i>Zambrzycki: Większa z kropelkami</i>	1.45
<i>Zarzycka: Dzikuska</i>	1.95
— Jawno grzesznica	1.95
— Kwiat jabłoni	1.95
— Chłopiec z dalekiej ojczyzny	1.95
— Ślubne pantofelki	1.95
— Okruch rozbitego zwierciadła	1.95
— Córka wichru	2.—
— Panna Irka	

v 157/02105

10 X

